



Biblioteka Politechniki Krakowskiej



10000297045

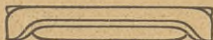




Stanisław Bełza.

---

# W ziemi Maurów Hiszpańskich



KRAKÓW.  
G. Gebethner i Sp.

WARSZAWA.  
Gebethner i Wolff.

POZNAŃ.  
J. Leitgeber i Sp.

1908.



40973

Akc. Nr K 2455/60

*Pamięci mojej*

*Maliny*

*poświęcam.*





## I.

Była, o ile sobie przypominam, 9 godzina rano, kiedy pociąg kolei żelaznej, zatrzymał się na stacji w Sewilli.

Wiózł on swoich i obcych podróżnych, zdążających z Madrytu na południe, i oddawszy temu miastu niewielką ich garstkę, ruszył dalej, by dobiedz kresu, gdzie się kończy ląd stały Europy, a zaczyna morze.

Kadyksu, na wązkim pasie ziemi wpuszczonego, jak półmisek na biały obrus, w głąb Atlantyckiego Oceanu, nad którym unosił się już Byron, posyłając tam swojego Don Juana, by wsiadłszy w tem mieście na okręt, odbył awanturyczną wędrówkę po świecie, jako pokutę za zbyt wczesne wyciąganie ręki po zakazany owoc, na rajskim drzewie wiadomości złego i dobrego.

Ranek był jasny, pogodny, ale zimny, jak wszystkie grudniowe ranki na południu, gdzie dopiero środkowe godziny dziennej doby, pozwalają zapomnieć o północy, w oświetleniu słońca, zalewającego nie wcześniej jak wtedy, ciepłymi promieniami spragnioną ich ziemię.

Wtulony więc w kąć omnibusu kolejowego paryskiego hotelu, jechałem na „plaza del Pacifico”, rozglądając się po domach nieznanego miasta, w którym sądzonem mi było spędzić słodkich dni kilka.

Jechałem i myślałem.

Gdzie jestem?

Jestem w kraju, oddalonym o kilkanaście godzin drogi koleją żelazną od stolicy Hiszpanji, o który też Hiszpanja toczyła z wyznawcami proroka długie i zacięte boje, który im następnie z rąk wydarła i złączyła ze swemi dzierzawami, by ze stanu kwitnącego, w jakim się pod ich rządami znajdował, doprowadzić go do... ruiny.

Jestem w mieście, nie najslynniejszym co prawda w tym dziwnym kraju, ale najpowabniejszym i najwesejszym, otoczonym łukiem bystrego Gwadalkiwiru, ozdobionym pomnikami architektury maurytańskiej, z jakimi tylko współzawodniczyć może Grenada.

To miasto ukochali niegdyś maurowie, kocha je dziś Hiszpanja, i szczyci się niem nad wszystkie inne, choć w królewskiej koronie miast swoich, posiada przecież tyle pereł czystej wody, stanowiących przedmiot zazdrości krajów innych.

Więc lubo poobdarzała resztę swych andaluzyjskich grodów pochlebniemi epitetami, streszczającemi w jednym słowie zaklęte w nich uroki, jedną Sewillę tylko nazwała „cudem świata”, jedną ją tylko, jak cud nad rzeczywistość, wywyższyła po nad wszystkie.

I wywyższywszy, powtarza to światu aż do znudzenia, prozą i wierszem, zwykłą mową i śpiewem, i choćbyś tu bawiąc, uszy sobie wata zatykał, jak brzęk komarów, zawsze ci do nich wcisną się słowa popularnej narodowej pieśni:

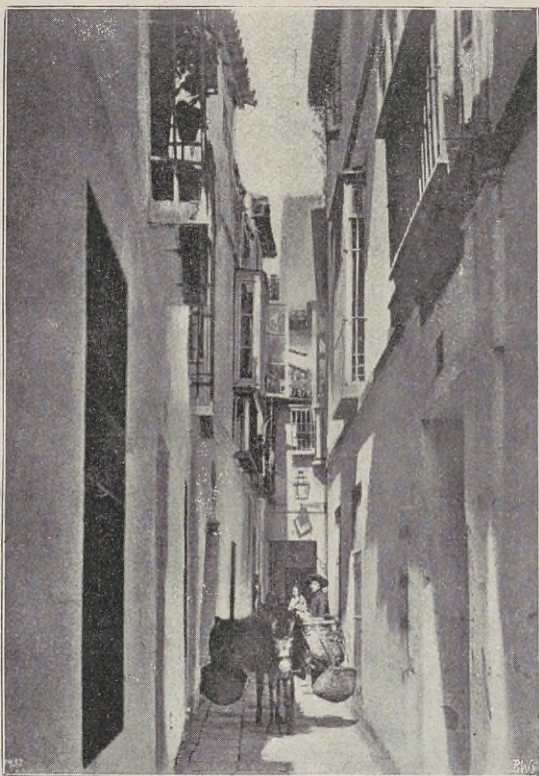
„Quien no ha visto Sevilla,  
No ha visto maravilla“

(Kto nie widział Sewilli, nie widział cudu).

Kiedy z „Estacion de Cordoba” (Dworca Kordowy) przedostaję się na „Plaza del Pacifico”, cudu tego jeszcze nie dostrzegam.

Jadę nieregularnymi ulicami, o domach niejednakowej wysokości, pospolitych i niekształtnych.

Zdobia je ganki, jak w domach Madrytu i Barcelony, to dochodzące do połowy okien, to jak okna w całkowitem oszkleniu, spuszczone nad ziemią.



Ulica w Sewilli.



Jak w miastach włoskich, widzi i tu oko moje wężkie uliczki, tak wężkie, że gdy się po nich przesuwa objuczony warzywami osioł, zwieszonemi z jego boków kosztami ściera nieledwie pył z sąsiednich murów, na które słońce nie przenika nigdy, gdzie od rana do wieczora panuje półmrok, sprzyjający, jak poeta powiada: „kochanków szeptom, i gwarze zbrodniarzy”.

Uliczki te, nieznane w Madrycie, tu snują się w przeróżnych kierunkach, i kończą się na jakimś placyku, albo na jakiejś szerszej arterji ruchu po to tylko, aby z przeciwległej ich strony wybiegnąć znowu, niby krużganki labiryntu, do orjentowania się w którym, przydałaby się nitka nowożytniej jakiej Arjadny.

Ale oto i plac „Pacífico”, omnibus przystaje, i rzy właściciel hotelu paryskiego, ukazuje mi niewielki pokój, mający mi dawać dach nad głową, gdy po przyjrzeniu się osobliwościom „cudu” w którym się znajduję, będę chciał zdala od hałasu ulicznego, zebrać spokojnie myśli w głowie.

Rozglądam się po tym pokoju.

Typowy pokój miast południa Europy.

Bez pieca, choć jest w chwili, kiedy się w nim rozgościłem, tak chłodno, iż ogień na kominie spotkałoby z radością moje oko, daje on wszystkie wygody i niewygody izb mieszkalnych Andaluzji.

A więc okna niewielkie i zabezpieczające w lecie od gorąca powietrza i promieni słonecznych, drzwi więcej do parawanu, niż do naszych fundamentalnych drzwi podobne, sufit tak nisko rozwieszony nad głową, że gdy rękę do góry uniesiesz, końcem palców dotykasz nieledwie jego tynku.

A po za tem?

Lepiej o tem, co się tu po za tem znajduje, nie wspominać, więc rzucam mu na pożegnanie pogardliwe spojrzenie, i za chwilę jestem na placu, który powoli zamieniać się zaczyna, w odsłonięty, i już wcale nie zasługujący na pogardliwe spojrzenie, powietrzny, słoneczny pokój.

Plac „Pacífico” jest jednym z niekształtniejszych placów Sewilli.

Wygląda jak trapez.

Trapez, wciśnięty w szereg ulic, wlewających się do niego ze wszystkich stron, jak potoki do jeziora.

Więc że jest mały, a ulic tych wiele, że znajdują się na nim dwa hotele: Paryski i Madrycki, które w mieście do pierwszorzędnych się zaliczają, ruch na nim z tych powodów jest w stosunku odwrotnym do jego rozmiarów.

Mam przeto przed oczami żywą falę, kiedy zstępuję ze schodów mojego hotelu, by zmieszać się z tłumem, który się po chodnikach placu tego w różnych kierunkach przesuwają, i zanim jeszcze poznaję miasto, czynię spostrzeżenie, o którego zasadności przekonywa mnie następnie dłuższy w niem pobyt.

Mianowicie:

że choć ruchliwymi są Madryt i Barcelona jak rzadko które doprawdy (z wyjątkiem chyba Neapolu) miasta włoskie, Sewilla przechodzi je pod tym względem o wiele, i że to jej życie, jest jednocześnie i bez końca, weselem.

Gdyż śmieją mi się tu wszystkie twarze, ude-rzają jaskrawymi kolorami wszystkich kobiet tęcze stroje, gdyż nie czuję tu na nieczyich nieledwie barkach ciężaru trosk, jakie gdzieindziej, tyle jestestw człowieczych, pochylają smutnie do ziemi.

Ale bo też ma to być „cud” ta Sewilla, bo ciężkie prawa rozwoju miast innych, nie dla niej mają być pisane, bo na jej, jak gdyby zaczarowanych progach, kończyć się ma to, co nam czoła zmarszczką pokrywa.

Cud?

Patrzę dokoła, mieni mi się od barw w oczach, podnoszę wzrok do góry, widzę słońce gotujące się już, pomimo że to grudzień, do raczenia przez kilka południowych godzin, ziemi morzem ognistych promieni, słucham, w uszy moje wpadają dźwięki skocznej muzyki.

I wpatrzony w to wszystko i zasluchany, powiadam sobie w duchu, że cudem może Sewilla ta nie

jest, bo cuda nie są z tego znikomego świata, ale jest czemś, co upaja i rozmaża, co działa na zmysły.

Jak śpiew, jak zapach, jak obraz.

A powiedziawszy to sobie, czekam nieledwie, rychło-li ta gromada pełnych rozweselenia ludzi, przy dźwiękach tej muzyki, puści się na tym placu w tan, rychło-li, ten nakryty firmamentem złotego nieba jasny pokój, przemieni się w salon płasów.

Ale nie pora teraz na płasy, jest pierwszy dzień Bożego Narodzenia, z wieży niedalekiej katedry daje mi się słyszeć donośny dzwon, czas do Świątyni, w której, jak w Świątyniach mojego dalekiego kraju, tylko nie w moim języku, uniesie się za chwilę ku niebiosom pieśń:

„Bóg się rodzi”.

Uniesie, i ożywi zlodowaciałe serca wiarą i nadzieją, że może zarówno tu na tem dalekiem południu, jak tam na blizkiej mojemu sercu północy, urodzi się nareszcie jutrznia złota, co opromieni skołatany i w krwi nużający się świat, pogodnem światłem, będącem błogosławionym zwiastunem: miłosierdzia dla uciskanych, i sprawiedliwości, dla deptanych brutalnemi nogami...

---

## II.

Cheąc z placu Pacifico przedostać się do katedry, należy przejść ulicę Mendez Nunez, i plac San Fernando.

Ulica Mendez Nunez, niczem szczególnem się nie odznacza, prócz tem chyba, iż nazwą swą przypomina, dobrze zasłużonego Hiszpanji człowieka, ale plac San Fernando, pod każdym względem na wyróżnienie zasługuje.

Przedewszystkiem, jest to plac największy w Sewilli.

I najregularniejszy.

Podczas gdy inne, wciśnięte w stare i wąskie uliczki, jak gdyby duszą się pod ich naporem, on jest przestronny i powietrzny, pełną piersią, że się obrazowo wyrażę, oddycha.

Przyczyniają się do tego i wspaniałe palmy, porastające go wzdłuż i wszerz.

Ciągną się one kwadratową linią, rozłożystą i wiecznie zieloną, i zamieniając go w letni salon, tworzą z niego, jak gdyby afrykańską oazę.

To też gdy tu chodzisz, zwłaszcza wieczorną porą, wsłuchujesz się w dźwięki języka, który przechował w sobie tyle wyrazów arabskich, przyglądasz się pięknym kobiecym twarzom, o typie nie z tego tu świata, i dostrzegasz w dali, na tle usianego gwiazdami widnokręgu, sylwetkę maurytańskiej wieżycy Gi-



raldy, zdaje ci się, że jesteś pod innym niebem, i nadstawiasz ucha, azali ze szczytu tej wieżycy, nie rozlegnie się smętny głos muezina, nawołującego wiernych do modlitwy, zanim noc z woli Allacha, pokryje ponurą kotarą wszystko co żyje, a żyjąc cierpi, na tym, nurzającym się w łzach i krwi, świecie.

Ale czyż w tej Hiszpanji, której ta Sewilla jest perłą najczystszej wody i „cudem”, na każdym kroku wszystko prawie Afryki nie przypomina, czyż wszystko niemal, w architekturze jej, mowie, obyczajach i zwyczajach ludu, na skrzydłach fantazji nie przenosi podróżnika w świat czarodziejski, który zawładnąwszy przed wiekami tym krajem, wycisnął na nim, nie dającą się zetrzeć niczem, pieczęć?

Kiedym chodził po ulicach Toleda, zadawałem sobie nieraz to pytanie, kiedy tu krążę po tym placu, ochrzczonym imieniem króla, który oswobodził Sewillę od maurytańskiego jarzma, powiadam sobie w duchu, że acz wielki i zasłużony dla tego miasta, dokonał on tylko połowicznego dzieła, tego, czego miecz ostry dokonać może, oswobodził je bowiem od panowania obcego, nie zdolny był przecież do dziś go wyzwolić, od obcego kulturalnego wpływu.

Jakaż z tego nauka płynęłaby dla możnych i monych tego świata, wierzących tylko w bagnet i miecz, i mniemających w zarozumieniu ducha, że materjalna siła jest wszystkim, o ile zaiste skorzystać mogliby oni, z lekcji jaką historia chociażby w tej tu tylko Hiszpanji świata daje, gdyby uczyć się chcieli.

Przestronny i powietrzny, piękny ten plac, zabudowany jest okazale.

W przeciwstawieniu do wązkich uliczek, na których stoją maurytańskie domy, oszklone i osłonięte, jak gdyby w obawie, by jakie niepowołane oko męskie, nie przeniknęło niedyskretnie do ich wnętrza, chroniącego troskliwie przed wzrokiem niegodnym, piękności Andaluzji, rozpościerają się tu one szeroko i słonecznie, dając dach gwiazdom wielkiego świata, żadnym hołdów i poklasku, spragnionych piękna tłumów.

Rozpościerają się ze wszystkich stron, ubierając go malowniczo, i wraz z temi, porastającemi go gęsto palmami, tworzą z niego coś takiego, czemu napastryć się dość niepodobna.

Rzeczywiście, wspominam bo to com widział, na szerokiego świata krańcach, przywodzę sobie na pamięć Algier i Tunis,—nigdzie nie podobnego nie staje mi przed okiem mojej duszy, i chyba do jednego placu palm w korsykańskim Ajaccio, mógłbym go upodobnić, gdyby nie to, że jego urok podnosi powiew dalekiego wschodu, szemrzący tu pieśń dziwną, w korsykańskim Ajaccio całkiem nieznaną.

Tam tylko jeden Napoleon na pomniku, unosi dusze w świat nie dzisiejszy, a tu wszystko na czem wzrok się położy.

I te liściaste drzewa, przeszczepione z oaz Afryki i przechowujące się tu tak dobrze jak w tych oazach, i ci ludzie o typie twarzy dziwnym i Europie nieznanym, więcej z oazami Afryki, niż z Europą, mający chyba wspólnego.

A architektura? Chodźmy popatrzeć uważniej na nią, gdyż trąca ona nieledwie o ten plac, i to pomnikiem, jednym z najwspanialszych, jakie Europie pozostawił w darze, obcy chrystjanizmowi Wschód.

Giralda nie jest budynkiem samodzielny, przeciwnie, stanowi przybudowę gmachu oryginalnego i dziwaczego niezmiernie.

Gmach ten, to katedra sewilska.

Kiedy w roku 1401, na miejscu dawnej, postanowiono ją wznieść na chwałę Pana, i gdy naradzano się nad jej planem, jeden z kanoników kapituły miał się wyrazić:

„powinna ona być taką, aby nie miała podobnej sobie na świecie”.

A drugi dodał:

„i taką, aby potomność powiedziała, że stawiać ją musieli chyba szaleńcy”.

Podchodzę ku tej katedrze, i zanim rozejrzę się w pięknościach architektury Giraldy, przypominam sobie te słowa.

I zadaję sobie pytanie, co to właściwie jest?

Czcigodni kanonicy sewilscy, przemyślający przed wiekami, o wzbogaceniu rodzinnego swojego miasta nową świątynią, tak byli snąc przejęci troską o nadanie jej romiarów bajecznych i szalonego kształtu, że zapomniali o tem co stawiają.

I zbudowali nie to, co im stało na myśli.

Nie świątynię.

Bo ta katedra świątynią nie jest, by gdy się na nią z zewnątrz patrzy, wyglądu świątyni nie ma, bo ukazuje oku taki chaos murów, że przypomina on wszystko, tylko nie dom Boży, którego harmonja jest nieodłączną zawsze przeciw częścią.

I budzi nie podziw, tylko gniew.

Nie wie się tu bowiem, na czem oko zatrzymać, nie może się niem objąć całości, więc się je wieszka na szczegółach, w rozpaczy prawdziwej, że ogół wymyka się z jego sfery.

Każdy kościół, gdziekolwiek on jest, w architekturze swojej posiada coś takiego, co wzrok chwytą i przykuwa głównie do siebie.

Wieża, złączona z nim ściśle i wystrzelająca z jego ścian, kopuła nakrywająca go, niby baldachim, i zlewająca się z jego murami, główne na pierwszym planie drzwi wchodowe wreszcie, obramowane świętymi pańskimi i głowami aniołów, — zawsze jest tam coś, co niby magnes, przedewszystkiem ku sobie ciągnie.

Tu, nic.

Gdyż Giralda nie jest katedry tej składową częścią, gdyż choć nie jest jak powiedziałem budynkiem samodzielnym, nie jest bynajmniej złączona z nią jedną myślą, gdyż odcina się od niej stylem.

I odciawszy się, pozostawia ją samej sobie, a pozostawiwszy, wprawia w prawdziwy kłopot patrzącego, przybitego ogromem, chaosem, bezładem, nie mogącego się zorjentować w tem na co spogląda, i zmuszonego przyznać w końcu, że ci, którzy pragnęli coś szalonego wystawić, rzeczywiście zdobyli się na szaleństwo.

Szaleństwo olbrzymie.

Bo jest to prawdziwy olbrzym ta katedra, bo rozsiadła się ona, nie,—rozłożyła, szerokiem ciałem na placu, który jej za podstawę przeznaczono, niby jakiś morski pajak o dziesiątkach nóg, a rozłożywszy się na nim, zaimponowała mu i całemu miastu, nie pięknem, bo piękną ona nie jest, ale nie spotykanym nigdzie ogromem.

I tym ogromem imponuje Hiszpanji, i gdy inne przybytki Boże tego kraju, posiadają przydomki, zalecające je duchowi, gdy Oviedo nazywa ten, jaki je przystraja „świętym”, Leon „pięknym”, Salamanka „dumnym”, — Sewilla swój określa tylko wyrazem „wielki” (la grande), bo wie o tem, że na inny jako żywo on nie zasługuje.

I jest wielkim, i pozostanie wielkim, ten kościół w tej Sewilli, jednym z największych jakie świat chrześcijański zna, tylko że ta wielkość, z pięknem prawdziwem, nie wiele zaiste będzie miała wspólnego.

Podporządkowało się tu, niestety ono, ciężkiej i bezkształtnej materji, zlodowaciało w jej śmiertelnym uścisku.

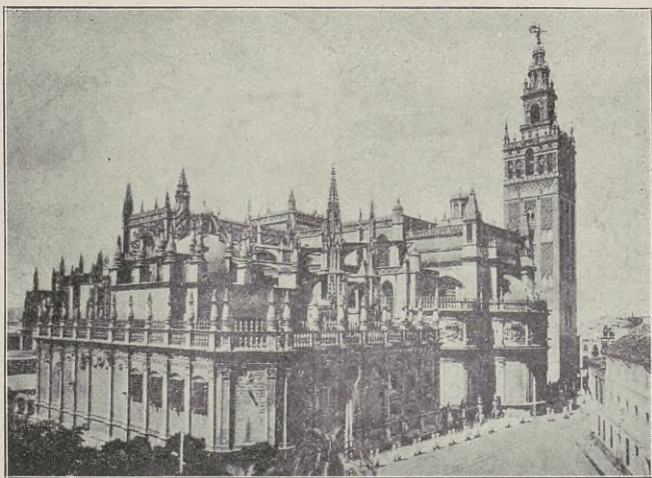
Oko więc patrzącego na ten kompleks dziwacznych murów, jest zniechęcone i znużone, i nie mogąc się w nim połapać, a pożądając zawsze i wszędzie harmonji, pada na przedmiot, co jest harmonją samą.

Na Giralde, coś uroczonego i powiewnego niezmiernie, coś, co nazwałbym poezją w kamieniu.

Katedra sewilska, stoi na miejscu dawnej, mahometańskiej świątyni.

Kiedy parci z północy maurowie, ustąpili z tego miasta, nie stało miejsca dla domu ich modlitwy, któryby ozdabiał ten plac; zastąpiono go więc innym, usuwając bez ceremonji mury, poświęcone czci innego Boga, ale równając je z lekkim sercem z ziemią, by na ich miejsce wznieść nowe, nie śmiano tego uczynić z jej minaretem, choć z jego szczytu, chwała nie chrześcijan Boga, najdonośniej przecież głoszoną była.

Nie śmiano, dla czego?



Katedra sewilska.



Bo rękę uzbrojoną oskardem, powstrzymywała moc piękna, zaklętego w tym czarodziejskim minarecie, bo nie chciano z powierzchni ziemi andaluzyjskiej zmieść niby pył tego, co tej ziemi było w kamieniu, jedną z najpiękniejszych ozdób.

Więc uszanowano pozostałość arabów, złączono ją z kościołem nowym, i tylko by nie odrzynała się ona rozmiarami swemi od jego ogromu, uniesiono ją wyżej.

Giralda należy do drugiego perjodu sztuki maurytańskiej, perjodu, do którego zalicza się stara fasada sewilskiego Alkazaru, a który w Alhambrze Grenady, dosięgnął swojego szczytu.

Kiedy stanę przed tymi dwoma pomnikami, zwłaszcza też przed Alhambłą Grenady, poświęcę tej sztuce więcej słów, tu powiem tylko, że w Giraldzie, wypowiedziała się ona niezmiernie wdzięcznie.

Naturalnie, w wysmukłej wieży, na nierozległej przestrzeni, architekt nie mógł fantazjować z tą swobodą, jaką mu dawała dajmy na to, szeroka fasada Alkazaru, musiał się krępować na każdym kroku, łamać z brakiem miejsca, chociaż mu przecież niedostało temu nieraz, wypowiedział myśl swoją wyraźnie, snuł, że tak powiem półtonem wprawdzie, ale czysto i niepokalanie jasno, pieśń wspaniałą, i przemawiającą do wszystkich serc.

I to właśnie sprawia, że ta Giralda, acz drobna, robi wrażenie niezwykle, że zestawiona z wielkimi pozostałościami budownictwa maurytańskiego, nie niknie przy nich, i nie usuwa się w kąt, że na niebie sztuki, świeci światłem pierwszej mocy.

A świecąc, przypomina ten lud poetyczny, co ożywiony prądem nowej wiary, jak gdyby za dotknięciem różdżki czarnoksiężskiej, stworzył wspaniałą literaturę i sztukę, i rozsądziwszy ciasne koryto w którym był niby górski potok zamknięty, rozlał się po szerokich przestrzeniach świata, pozostawiając wszędzie gdzie przeszedł, ślady niespożytej, i nie dającej się zatrzeć kultury.

Spoglądam na tę Giralde, i myślę, czy też po tych, którzy dziś w Europie tak hardo wywijają mieczem nad głowami, ślady takie pozostaną, i czy wspominając ich dzieła i czyny, ze sprawiedliwością nie nie mające wspólnego, a ubóstwo ducha, oddanego w usługi materji, potomność o nich nie powie z politowaniem i pogardą: pokój wam, i wieczne zapomnienie.

Ale wejdźmy do katedry, przyjrzyjmy się jej wnętrzu, popatrzmy, jak architekt wywiązał się z arcytrudnego zadania, podtrzymania kolosalnego sklepienia, nad olbrzymią powierzchnią, długości stu piętnastu, a szerokości siedmdziesięciu pięciu metrów.

Wejdźmy.

Z kilkunastu bram na prawo i na lewo, wprowadzających do tej świątyni fale ludzkie, wybieramy tę, która przytyka do ulicy niemieckiej.

Wybieramy z rozmysłem.

Bo prowadzi ona przez podwórze pomarańcz, z jakim nie spotkaliśmy się nigdzie w Europie, bo roztacza obraz czegoś tak niezwykłego, czemu napatrzeć nie może się oko ludzkie.

Podwórze to, nosi nazwę dobrze znaną na południu Pirenejów: „Patio”.

Kto choć dzień jeden pobędzie w Sewilli, temu ta nazwa niejednokrotnie obije się o uszy.

Bo „patio” swoje ma prawie każdy tu dom, bo w głębi każdego jest ono uroczym zakątkiem, odświeżającym powietrze wśród jego murów, radującym wzrok żywą barwą, a powonienie odurzającym zapachem.

Więc „patio” jest to maleńki ogródek, wciśnięty we wnętrze domów mieszkalnych, coś niby w rodzaju olbrzymiej doniczki kwiatów i roślin, nadających im urok nie spotykany nigdzie w Europie.

Chodzisz tak po tej Sewilli i patrzysz. Masz domy na prawo i na lewo, większe i mniejsze, otwierające się na ulicę, bądź bramą szeroką i oszkloną, bądź furtką wąską.

Wprowadzasz przez ciekawość wzrok po za tę bramę i furtkę, i oko twoje kładzie ci się na czemś niezwykłym.



Na niewielkiej przestrzeni, jak gdyby w kamiennej obręczy, z pośród zieleni lub woniejących kwiatów, wystrzela do góry drzewo.

Palma, lub pomarańcza.

Stosownie do rozmiarów tej przestrzeni, masz ich tu kilka lub jedną tylko, ale masz wszędzie, tam nawet, gdzie ta przestrzeń jest tak wązka, iż zaledwie ci się ruszać swobodnie daje.

Tuż obok, ledwo dostrzegalną nitką, wytryska ponad poziom fontanna, i szemrząc słodko, deszczem sztucznym, spada na spragnioną dżdżu ziemię.

Przeważnie jest to „patio“ w Sewilli drobne, bo domy tego miasta przeważnie nie wszerek lecz ku górze strzelają, słów przecież braknie na opisanie jego uroku, na odmalowanie wrażenia jakie w patrzącym budzi.

To też nie kuszę się dłużej o to, i żalując że słowo, jest tylko słowem, że nie posiada potęgi barw, dla uplastycznienia tego, co przedstawić zamierza, przekraczam próg „Patio de los Naranios“ (podwórza pomarańcz), jakie przez bramę pomarańcz, wprowadzi mnie za chwilę już do katedry.

To, będące, jak gdyby zielonym przedsionkiem świątyni „patio“, różni się wielce od tych, jakie wciśnięte są w głąb sewilskich domów.

Przedewszystkiem, jest ono widne i przestronne.

Otoczone z trzech stron murem, opiera się o tyły aż sześciu kaplic, wygląda więc raczej na skwer wielkomijski, niż na oazę, jaką stanowi „patio“, w głębi sewilskich domów.

Ale skwer, jakież oryginalny i dziwny!

Rzędami po obu stronach wchodowej drogi, piętrzą się olbrzymie pomarańczowe drzewa, a że to jest grudzień, czas dojrzewania owoców na południu, więc zwiesza się ku ziemi bujnie, z pośród ich liści zielonych i gęstych, złoty owoc. Uginają się pod ciężarem jego gałęzie, podczas gdy słońce z góry zlewając na nie swoje promienie, uwypukla je barwnie oku.

Patrząc na to, i wierzyć temu co widzę nie chcę, zdaje mi się, że to sen.

Trzy dni temu jeszcze, miałem na całej drodze, od mojej Polski ku Szwajcjarji, mleczną kołdrę śniegu przed oczyma, wczoraj jeszcze, w Madrycie deszcz zimny mroził mi krew w żyłach, przed chwilą jeszcze żal mi było, że w pokoju hotelu paryskiego, w którym się rozgościłem, brakowało komina z bujnym ogniem...

A teraz!

O Sewillo!—zawolałem w głębi ducha,—nie jesteś ty cudem coprawda, choć cię tak wielbiciele twoi nazywają, ale jesteś czemś takim, co z cudem w powinowactwie pozostaje, bo tworzysz świat fantazji pełen i uroku, który ludzi ponad rzeczywistość unosi, do świata cudów zbliża.

O Sewillo!

Kiedy się wejdzie do katedry, pierwsze wrażenie, jakie jej wnętrze daje, jest wrażeniem zdumienia.

Zdumienia, które się łatwo tłumaczy.

Szło się tu, z głową nabitą, że się zobaczy świątynię, jedną z największych na świecie, o cztery metry szerszą od kościoła Sw. Piotra w Rzymie, a o trzydzieści od katedry Medjolańskiej, szaleństwo w myślenie i wykonaniu, kompleks murów, zarywający coś niecoś ze wszystkich stylów, z żadnym przecież nie mający wyłącznego związku.

I zobaczyło się to istotnie, i doznało się zawrotu głowy, którą dopiero tu uroczą Giralda doprowadziła do równowagi, a to czarodziejskie „patio“ pomarańcz, pogodziło z harmonją i ładem.

Patrząc na te mury, sądziło się, że ich chaos odbić się koniecznie musi na tem wnętrzu, że ten niepokój, jaki sprawiał ich widok, powtórzyć się musi, gdy się w niem znajdzie, i wzrok uczepli po filarach i sklepieniach.

A tymczasem...

Nie z tego. Wnętrze to, uderza porządkiem i ładem.

Na przekór wszystkim świątyniom chrześcijańskiego świata, przedstawia się ono nie w formie krzyża.

Przyczyna prosta: za podstawę jej służył meczet, a ten formy krzyża nie miał.

Więc gdy go zburzono, postanowiwszy zastąpić kościołem, dano mu zarys meczetu, zapomniano, że to ma być kościół.

I tym sposobem, wyróżniono od wszystkich kościołów, z wyjątkiem tych jedynie, które w Hiszpanji na miejscu porujnowanych meczetów postawiono.

Jeżeli się weźmie to pod uwagę, i zestawi tę katedrę z innemi, wypadnie, że jest ona nie tylko najszerszą, ale i najprzestronniejszą na całym chrześcijańskim świecie.

Kiedy też znalazł się w niej Gauthier, powiedział, że Notre Dame paryska, mogłaby po jej wnętrzu swobodnie spacerować.

Istotnie, mogłaby, gdyby nie te filary, podtrzymujące sklepienie, a wchodzące na każdym kroku w oko, gdy się w tem wnętrzu znajdzie.

Filarów tych, jest tu cały las.

Stoją one w czterech rzędach, po ośm w każdym szeregu, niby żołnierze w pochodzie, i podobne do siebie jak żołnierze, rozplývają się w gotyckich łukach sklepienia.

Cóż to za olbrzymy te filary. W przecięciu, każdy z nich, ma nie mniej nie więcej jak cztery metry. Kwadratowe niemal, z odcieniem lekkiego zabarwienia, w półcieniu jaki w kościele panuje, przedstawiają się one majestatycznie, zlewając na ten kościół taką powagę, jakiej nie zauważyłem, w żadnym kościele chrześcijańskiego świata.

A te łuki rozwieszane nad nimi, rozprawdzające je po sklepieniu, udekorowane tak fantazyjnie, że kiedy się na to patrzy, mimo że są one czystymi gotykami, w przybraniu ich dostrzega się ślady maurytańskiego stylu, jakież one słodkie i wdzięczne. To też kiedy tu chodzisz, nie wiesz doprawdy na czem zatrzymać oko, bo wszystko tu wypieszczone ze starannością niezwykłą, wszystko dostrojone do majestatu całości.

Do majestatu. Nie cofam tego wyrazu, bo majestat nie z tego świata jest cechą tej katedry, majestat nieznanym nawet świętemu Piotrowi w Rzymie.

I gdy tam, powiedziałbym, wszystko na co się spogląda, działa na zmysły, tu przemawia wszystko do ducha, unosi go do wyższych sfer, w świat pokoju, i nie gasnącej miłości.

Jakaż doprawdy dziwna sprzeczność tego wnętrza, z zewnętrznym kościoła szkieletem, jakież rozdźwięk między jednym a drugim. Klóci się ono z nim każdą linią, urąga jego nieporządkowi, i jak powiedziałem zdumienie wywołuje, że się pod tak haotycznym nakryciem rozpościera.

Błogosławione to zdumienie, bo poi ono duszę nektarem słodkim, jaki gdzieniegdzie tylko na świecie, jest stęsknionych za boskim majestatem, dusz, udziałem. Niezwykłe wrażenie, jakie ta katedra sprawia, potęguje panujący w niej półmrok.

Półmrok, zabarwiony nieco różnokolorowem światłem, przeciskającym się z zewnątrz, przez szereg okien, oszklonych tęczowemi szybami.

Kładzie się on na filarach, ołtarzach, łukach i obrazach, nadając im wszystkim pokost tajemniczości jakiejś nie z tego świata, i usuwając z przed oka szczegóły, przed wyobraźnią otwiera szerokie widnokęgi. Ma też tu ona pole do wzlotu, takie jak w żadnym innym może kościele, bo żaden nie zarywa tyle co ten tu z kolosalności, na wyobraźnię ludzką, wywierającej zawsze i wszędzie wpływ magiczny.

Wśród tych olbrzymów mgłą półświatła przysłoniętych, czem że bo jest człowiek, ten dumny król stworzenia? Czems w rodzaju marnego krzewu w niebotycznym gęstym lesie, więc niknie on tu jako materja, ale gdy powiedzie okiem po przestrzeni, którą ten półmrok zdaje się do nieskończoności rozszerzać, czuje, że twórcą jej jest nie kto inny, tylko on, i unosi się ku górze jako duch. I duchem tym ożywia tu wszystko, i te kamienne filary, co pełnią służbę od wieków, chroniąc od upadku katedrę, której najlżejsze osunięcie się jednego z nich, mogłoby katastrofę spowodować, i tych świętych na obrazach, co z poza mgły patrzą na niego, jak gdyby się dziwiąc, że będąc tak potężnym i mocnym, jest tak słabym zarazem, i zdol-

ny do bujania po niebiosach, tak często pełza, niby marny robak, w błocie ziemi.

Wspaniały kościół, udekorowany jest, i to nie tylko architekturą wewnętrzną, wspaniale, zdobią go płótna, będące prawdziwymi arcydziełami sztuki, których twórcy, są dumą Hiszpanji.

Murillo, Herrera, Zurbaron, Morales, Goya, — że pomnę gwiazdy drugorzędne, błyszcza też tu na obrazach jak światła pierwszej mocy.

Kto nie słyszał, o najślawniejszym z nich: świętym Antonim Padewskim, w ekstazie przed Dzieciątkiem Jezus, kto nie wie o tem, że na jedną z jego postaci, uczyniony był zbrodniczy zamach? Zuchwała ręka wykroiła najpiękniejszą z niego głowę, by ją na wagę złota zbyć jakiemu miliarderowi amerykańskiemu, ale zanim urzeczywistniła swój niecny zamiar, uchwyconą została na kradzieży. I święty powrócił w tryumfie do katedry, i wklejoną w obraz głowę, budzi podziw znawców sztuki. Jednej rzeczy pominąć tu nie można, kiedy się po tej katedrze chodzi.

Pomnika Krzysztofa Kolumba. Przeznaczony dla Hawanny, zdołał on lat kilka katedrę w Hawannie, w roku 1899 przywędrować do Sewilli.

Jako dzieło sztuki, jest on wartości wątpliwej, ale imponuje pomysłem swego twórcy. Ukazuje bo czterech królów Hiszpanji: Kastylji, Aragonji, Nawary i Leonu, dźwigających sarkofag, odkrywcy Nowego Świata, i wciela w sobie piękną i głęboką myśl, że przed wielkością wynalazczego i twórczego ducha, korzyć się powinni nawet królowie.

Przechadzam się tak po tej katedrze, i przyglądając się uważnie jej wewnętrznemu całokształtowi i szczegółom, zapominam o tem zupełnie, że to jest pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Rzeczywiście, nie mi bo tego w kościele na myśl nie przychodzi.

Przed jednym z ołtarzów, ksiądz w asystencji kleryków, odprawia wprawdzie nabożeństwo, ale uczestniczy w nim zaledwie kilkadziesiąt osób, a i te skupieniem swoich duchów, wielkiej rocznicy na pamięć nie sprowadzają.

W ojezyźnie mojej, w tej właśnie chwili, tłumy rozpierają mury świątyni, nie już przyglądać się ich pomnikom, ale swobodnie poruszać się w nich nie sposób, poza kościelnymi progami, ciągnie się ogon rozmodlonego na klęczkach ludu... A tu?

Pusto i głucho, jak gdyby to był dzień codzienny, jak gdyby cały świat chrześcijański nie święcił właśnie, jednej z najpodnioslejszych i najświętszych pamiątek.

Mężczyzn nie widzę, ale gdzież są kobiety, którym religja nadaje taki czar nadziemski, a które w moim kraju, nie tylko w dniu świąt takich, przepemniają domy Boże, gdzież są dzieci, przywodzące na myśl oblicza aniołów, gdy bijąc się z pokorą w piersi, z prośbami matek i sióstr, łączą swoje prośby niewinne?

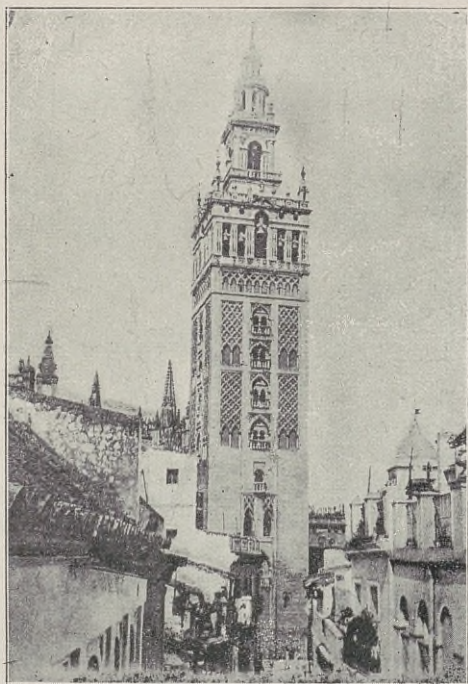
Czyżby złowróźbny sceptycyzmu powiew, osiadł już tu na duszach tych, których przeznaczeniem jest słodkiem, krzesać w sercach ogień niebieski, czyżby ściał lodem ledwie z pod ziemi wyrosłe płonki, i zanim wystrzelily one ku słońcu, złamał je i odrzucił w nocy mroki?

Myślę o tem, i robi mi się niewypowiedzianie smutno na duszy, bo mi żal przedewszystkiem tych kobiet, które w takiej chwili zapomniały o tem co stanowi urok kobiety, nie pomne słów, jakie w natchnieniu nakreśliła kobieca ręka, a o których nigdy i nigdzie zapominać nie powinna, kobieta.

Oto one:

„Bezgraniczna wiara, jest kwiatem życia, gdy zniknie, wtedy i wiosna minęła”.

Ouido,—pomyślałem—jakaż głęboka prawda tkwi w tych twoich słowach, i jakże nieszczęśliwe są te kobiety, którym tu, na tem uroczem południu, gdzie serca żywiej ku Stwórcy bić powinny, okwitł tak przedwcześnie kwiat życia, ściała się mrozu podmuchem, istnienia naszego na ziemi—wiosna!



Giralda.





### III.

**A**lkazar jest trzecim z rzędu budynkiem, ku któremu kierują się zazwyczaj, przyjezdnych do Sewilli, kroki.

Właściwie ze względu na swoją piękność, winien on być pierwszym, że jednak na drodze prowadzącej ku niemu, z placu Pacifico, na którym rozsiadły się dwa pierwszorzędne hotele tego miasta, i z „San Fernando” gdzie znajdują się aż cztery, masz słynną Katedrę i Giralde, przeto zazwyczaj, zanim się w progi Alkazaru wkroczy, ma się już za sobą te dwa budynki, tak stylowo odmienne, a tak interesujące, choć nie z jednakowych przecież względów.

Więc i ja uległem temu prawu (jeśli to prawem nazwać można) a uległem mu i z tego powodu, że chciałem dzień Narodzenia rozpocząć w nieznanym mi mieście, tam, gdzie sądziłem, że jeśli nie całe miasto, to przynajmniej lepszą jego połowę, ujrzę w pokorze przed ołtarzami Pana, w rozpamiętywaniu wielkiej rocznicy, która jeśli gdzie, to właśnie w tej ziemi siedmio-wiekowej walki z czcicielami innej religji, rozpamiętywaną powinna być, z wyjątkowym pietyzmem i namaszczeniem.

Żem nie ujrzał, że pod tym względem rozczerowania gorzkiego doznał, nie ciebie winię, piękna kobieto Sewilli, ale tych... tych, co niebacznie i zbrodniczo, siali ziarna obojętności w twojem sercu, co poili je, dla celów swojego wyuzdania lub interesu, jadłem piekielnym niewiary, aż zlodowaciało niestety ono, przestało bić ku temu, ku czemu jeśli bić silnie czyje serce powinno, to twoje o kobieto! gdziekolwiek, na północy, czy południu, w pałacach czy piwnicach

i suterynach, stoisz, opromieniona technieniem ideału, u kolebki, rwącej się ku ideałowi, ludzkości.

Twoje. Któż bo jeśli nie ty, która we wszystkich świata stronach rozczasasz blask swoich wdzięków i cnót, masz przeznaczenie wzniosłe, niby gwiazda do Betleemu, prowadzić nas ku prawdzie i dobru, i piastując człowieka w swem łonie, dawać stęsknionemu światu, opromienionego wiarą, nadzieją, i miłością, człowieka?

Musiało w tem miejscu, gdzie stoi teraz Alkazar, być przed wiekami środowisko życia maurytańskiego, bo tu nie gdzieindziej, pozostawili oni po sobie najwyraźniejsze w Sewilli ślady.

Tuż przy Giraldzie stał ich wielki meczet, w którym głoszone chwałę ich Boga, tuż niemal przy meczecie, wznosił się dumnie pałac ich władców, ogólną nazwą Alkazaru ochrzczony. Wznosił się na olbrzymiej przestrzeni, bez porównania większej niż ta, jaką dziś zajmuje, dochodził bowiem murami i ogrodami swemi, aż do wybrzeży Gwadalkwiwiru, obecnie zabudowanych całym szeregiem domów.

Meczet znikł z powierzchni ziemi, zastąpiła go katedra, Giralda uniesiona wyżej ku niebu, pozostała tam gdzie ją postawiono, a on przeobraził się do niepoznania, i tylko resztkami sufitów i mozaik, przypomina o nich miastu. Niby wielka rzeka po wylewie, skierował się w węższe łożysko, i płynie już niemi spokojnie, pozbywszy się poprzedniej swojej grozy.

Kiedy więc król Kastylji Piotr Okrutny, zabrał się do odnowienia tego zamku, nie musiało być w nim z dawnego wiele, bo go uważają niemal za jego twórcę, choć i ci, którzy po nim na tron wstąpili, Izabella Katolicka, Karol V, Filip drugi i trzej następnego imienia, pozostawili w nim swoje ślady. Ale oni już wszyscy, dorzucali tylko piękne szczegóły do wspianej całości, całość związała się z nazwiskiem Piotra Okrutnego, niedającą się rozerwać nicią.

Czyż będzie więc wobec tego zbyt cennym, gdy zanim wstąpię w progi tego przybytku, słów kilka chociaż poświęcę srogiemu jego twórcy, a zarazem

i tej, która w burzliwym jego życiu odegrałszy tak wybitną rolę, być może pośrednio przyczyniła się do tego, że na miejscu gdzie stoi ten wspaniały Alkazar, nie wznoszą się pospolite, doprowadzające do rozpaczy, swą jednostajnością mieszkalne mury. Kiedy się chodzi po salach tego pałacu, imiona jego i jej, obijają się ciągle o uszy, niechże więc wskrzeszone zostaną w naszej pamięci, zanim przybytek okrucieństw i uciech dwojga ludzi, co nie przeszli przez dzieje bez śladu, roztworzy przed nami podwoje.

Szesnaście zaledwie miał lat Piotr Okrutny, gdy po przedwczesnej śmierci swego ojca, wstąpił na tron Kastylji, ale chociaż młody wiekiem, musiał nosić w piersi serce nieczule, bo rządy swoje rozpoczął mordem.

Mordem kobiety.

Nie zawiniła mu ona osobiście nic, ale stała pomiędzy jego ojcem a matką, gdy ten władzę miał w rękę, i to spowodowało jej śmierć.

Zagustowawszy w krwi ludzkiej, nie hamował się już żadnymi względami, i panowanie jego w Hiszpanji, upamiętniło się okrucieństwami, którym zawdzięcza swój znamieny przydomek.

Wkrótce po wstąpieniu na tron, postanowiono go ożenić.

Wybrano na przyszłą królowę, Blankę, z rodu Burbonów, nie wiedząc nie zgola o tem, że inna kobieta rządziła nim już wszechładnie.

W zamku kanclerza jego państwa Albuquerque'a, pozostawała na służbie Marja Padilla, i tę gdy ujrzał Piotr Okrutny, oddał jej całkowicie swoje serce.

Zwłóczył więc małżeństwo z Blanką jak mógł, gdy go wreszcie jednak z nią złączono, po dwóch zaledwie dniach pożycia, opuścił ją i pobiegł do Marji.

Stał się więc niesłychany skandal, obrażona Francja za zniewagę księżniczki swojej, mogła mścić się na Hiszpanji, skłoniono go więc łzami blizkich mu kobiet, że powrócił do żony.

Nie na długo.

Jak współcześni opowiadają, Padilla oczarowała go zupełnie, u jej więc boku przesiadywał miesiące całe.

Tego ścierpieć grandowie kraju nie mogli. Wznieśli więc powstanie przeciwko niemu, przyczynili się tym sposobem przecieź tylko, do jej wyniesienia i tryumfu.

Bo powstanie utopił Piotr Okrutny w potokach krwi, a ona z ustronnego zamku, niby królowa, przeszła na mieszkanie tam, gdzie pędziła dotąd smutny żywot, poniżona przez nią Blanka.

I roztaczając w niem czar swej urody, jednocześnie oplotła dwór cały, siecią tak subtelnych intryg, że wszystko co na nim nie było posłuszne jej skinieniom, musiało usunąć się z przed oczów króla.

Lub ponieść śmierć.

Ginie więc od trucizny Blanka odtrącona od męża, brat królewski w jednej z sal tego Alkazaru, pada przeszyty mieczem, katowskie ręce nie wypoczywają ani chwili.

To wywołuje nowy protest oburzenia całego narodu, zwłaszcza też, gdy w roku 1361, ulubienica Piotra umiera, a król przyznaje się przed grandami, że ją potajemnie poślubił, i syna jej wynosi do godności następcy tronu.

Ponownie więc wrogowie jego chwytają za miecz, drugi brat króla Henryk, staje na czele niezadowolonych, pokonywa go na polu bitwy, i własną ręką przesywa jego pierś.

Oto jakie dzieje stają na pamięci, kiedy się podchodzi ku temu Alkazarowi maurytańskiemu, oto jakie widma przesuwają się przed okiem duszy, gdy się przekracza jego podwórze.

Dzieje straszne, postacie namiętne, i urągające prawom boskim i ludzkim, skąpane w krwi, i przez krew wysuwające się na wyżyny.

Zbliżyła je ku sobie obalająca wszelkie zapory miłość, złączyły nierozzerwalnym węzłem: ambicja i zbrodnia, dając poezji wdzięczny temat, do analizy

tajni dusz ludzkich, i do snucia na ich kanwie, obrazów wstrząsających wyobraźnią.

To też niby bluszcz około starych zwalisk, opłotła się ona około nich, Calderon, Mureto, Ancelot i Donizetti, każdy na swój sposób, czerpali natchnienie w ich dziejach, i apoteozując w nich to, co było treścią burzliwego ich życia: namiętność i chęć panowania, uwiecznili ich w rocznikach literatury i muzyki.

A kamień, przekazał ich pamięć w tym Alkazarze.

Popatrzmy na ten kamień, świadczy bo on o tem, że w duszach, najgwałtowniej wstrząsanych poziomemi żądzami, pięć się ku gwiazdom i słońcu może, kwiat, nic z poziomemi żądzami nie mającej wspólnego, sztuki.

Pięć, i do spółki z poezją, uwieczniać w pamięci ludzkiej, postaci historyczne, które gdyby nie ta ukochana przez nich sztuka, przeszłyby przez dzieje, jako służbie zmysłów i zbrodni przeważnie oddane, bez echa, — tak że byłoby po nich, jak po przejściu huraganu w przyrodzie, — cicho.

Do odnowienia pałacu maurytańskiego, powołał Piotr Okrutny maurytańskich artystów.

Miał ich prawie pod ręką.

Choć Sewilla, zrzuciła już jarzmo cudzoziemców, Granada była jeszcze w ich władzy, nie tylko więc artyści, ale i wzory stylu Maurów, iść mogły i szły ztamtąd niezawodnie wszędzie, gdzie w tym stylu projektowano odnowę starych, lub dźwiganie nowych budowli.

A Alkazar, na wzór dawnego, Piotr odnowić zamierzał, raz, aby mu on przeszłość, nad którą zapanowali dzielni jego przodkowie, przypominał, a powtóre, że ten styl lubieżny, i łechcący zmysły, wydawał mu się najodpowiedniejszym, dla ubrania miłosnego gniazda, w którym przy boku ukochanej kobiety, chciał pędzić chwile rozkoszy i wesela, zapominając o spełnionych, dla jej i swego wywyższenia dawnych zbrodniach, lub knując w głębi swojego posępnego ducha, nowe.

Z energją więc właściwą mu we wszystkim, zabrał się do dzieła, lat jednaście prowadził je bez przerwy, i jak feniks z popiołów, w miejscu dawnego, po-

wstał nowy czarodziejski, związany z jego, i tej, która była dla niego wszystkim, imionami, na zawsze.

Pałac czarodziejski, zewnętrznym swoim wyglądem, bynajmniej czarów, jakie się w jego wnętrzu znajdują, nie zapowiada.

Patrzy na twierdzę, czemu dziwić się nie można gdyż za Maurów, twierdzą i jednocześnie pałacem, był.

Murami więc bezkształtnymi i nie estetycznymi darzy oko, kiedy się ku niemu podchodzi, przywołując na myśl tych władców mahomotańskich, którzy z najwspanialej urządzonych komnat, biegli co chwila, w razie konieczności na baszty forteczne, by bronić do ostatniej krwi kropli, zagrożoną wiarę Mahometa.

Ten charakter budowli tych władców, Piotr Okrutny uszanował, uszanowali go i jego następcy, i pod tym względem, dzieło ich rąk, w niczem się nie różni od tego, które w tem samym miejscu, tylko, jak powiedziałem, na bezporównania szerszej przestrzeni, uplanowali najeźdźcy Hiszpanji.

Zanim się zatem ujrzy front budynku, ściągającego do stolicy Andaluzji z całego świata tłumy, ma się wpierv przed oczyma pospolite wieże i dziedzińce, dla zobaczenia których, nie warto byłoby wychylać głowy po za granicę okna własnego mieszkania, ale kiedy się stanie przed tym frontem, nie żałuje się trudu, jaki musiało się ponieść, aby się do tej Sewilli przedostać.

Zapowiada bo on nam od razu to, co ujrzymy we wnętrzu budynku, do którego stanowi przejście.

Uderza bogactwem takich ornamentacji, z jakimi spotkamy się tam, te same co i tam ukazują cechy stylu, co zapożyczony od maurów, w ścisłem przecieź znaczeniu tego słowa, stylem maurytańskim nie jest, ale powiedziałbym, bizantyńsko-gotyckiem fantazjowaniem, na podstawowem tle tego stylu.

Gdyby więc z grobu powstał pierwotny twórca Alkazaru, sułtan Abu-Jakub Jusuf, który już w grobie ośmset lat leży, i zobaczył ten front i to wnętrze, nie mógłby nie przyznać, że ci, którzy dzieło jego odbudowali, na jego wzorach się wyształcili, ale dodał-

by to, co my dodajemy, że odstąpili od tych wzorów, a raczej nie odstąpili, ale nie uszanowali ich w zupełności, zastosowali do swoich upodobań, uzupełnili dodatkami, będącymi właściwościami stylów innych.

Czy kiedy się wspomni historję tej przebudowy, można się temu dziwić?

Powiedzieliśmy, że zapoczątkował ją Piotr Okrutny, zapoczątkował przy pomocy rąk maurytańskich artystów, ale powiedzieliśmy i to, że po jego tragicznej śmierci, każdy nieledwie z jego następców, wycisnął na tym pałacu ślad swojej ręki.

Otóż gdy Piotr, bliższy niż jego następcy, epoki twórców tego pałacu, Maurów, mający ich co więcej za życia swego w pobliżu w Granadzie pod ręką, mógł się trzymać więcej tych wzorów, oni, dalsi od tej epoki, nie zrywając bynajmniej z tym stylem, nie myśleli już tak troskliwie, jak być może on, o przechowaniu takowego w niepokalanej czystości, i pozwalali sobie na dodatki, szarmonizowane z nim architektonicznie niezawodnie, ale wprowadzające do niego pierwiastki zupełnie mu obce.

Kiedy się, jak dzisiejszy Alkazar, przerabia coś i uzupełnia przez ciąg czterech stuleci, jest to naturalnem, i jeżeli co zastanawiać może, to tylko to, że majstrowie tylu epok i tylu najprzeróżniejszych gustów, tak wiele jeszcze w budowli obcej im duchem swoim, pozostawili. Ale świadczy też to o nich zaszczytnie bardzo, mówi wiele o ich wszystkich artystycznej kulturze.

Że takie fantazjowanie na tle maurytańskiem, obcych maurytańskiemu stylów, że wplatanie w jego ozdobnictwo artystycznych pomysłów, urodzonych pod innem niebem, i wychodowanych w innych warunkach, obniżyło wartość Alkazaru, jest rzeczą niewątpliwą, to też więcej jednolita Alhambra w Granadzie, w hierarchji sztuki budowlanej, wyższy szczebel zajmować zawsze będzie, ale zajmując, nie pozbawi go nigdy uroku, jakim jest owiany, a który bądź co bądź, czyni z niego jeden najbardziej interesujących, gmachów.

Przechodzimy wchodowe wrota, i znajdujemy się nagle w świecie nie z tego świata.

W świecie wybujałej,—za słaby wyraz, doprowadzonej do szaleństwa fantazji.

Mamy tu przed oczyma, konkursowy zaiste jej popis, widzimy, do czego jest zdolna, gdy hamulca na nią nie nakłada nic.

I kiedy na to wszystko spoglądamy, robi to na nas wrażenie takie, jakgdyby ci, którzy ten Alkazar odbudowywali, od Piotra Okrutnego do Filipa piątego, zmówili się na jedno: aby nie tracąc charakteru maurytańskiego, był on w całym znaczeniu tego słowa wspaniałym, dostojną siedzibą pogromców Maurów, aby działał na zmysły, i lechtał zmysły.

— Nie chcemy pałacu o jednolitym wschodnim stylu, choć ten styl uszanować tu w ogólnych zarysach pragniemy,—oto słowa, z jakimi musieli się oni do nich zwracać,—chcemy czegoś nadzwyczajnego, nadziemskiego, przybytku, godnego materialnej naszej potęgi, sławy i miłości.

I architekci zastosowali się do tych życzeń, i nie krępowani niczem, poematami w kamieniu ubierali jego wnętrze, przeładowywując je bogactwem barw i form rysunkowych, z bajeczną wprost rozrzutnością, ludzi, nie rachujących się z żadnymi względami.

Bo że tak rzeczywiście, jest, na to z nami zgodzi się każdy, kto przeszedł próg przybytku tego, kto raz, nagle i niespodziewanie, znalazł się oko w oko z jego czarami.

Patrzmy.

Zanim przedostaniemy się do komnat królewskich, uderza wzrok nasz podwórze. Dokoła niego łuki i kolumny, po bokach okna i drzwi ustrojone w arabeski. Kolumny są z białego marmuru, łuki przeładowane mozaiką i rzeźbą, a okna otoczone są załamującymi się w niemożliwy sposób barwnymi linjami.

To podwórze,—dziwo niezwykle i nie widziane nigdzie, to dopiero wstęp.

Wstęp do romansu wschodniego, pieszczącego słuch uroczemi opowieściami, o awanturach błędnych





Sala dziewic w Alkazarze.



rycerzy, namiętnościach smętnych odalisek, wśród odurzających kadzidel, marzących w półśnie, w otoczeniu kornie pochyłonych niewolnic, o miłości, za którą oddałyby każda z nich życie, o wolności, dla zdobycia której, każda jak najchętniej poświęciłaby miłość.

Oto wielka sala przed nami.

„Patio de las Doncellas“, sala dziewic.

Za czasów Maurów, w tem miejscu wedle tradycji, rok rocznie mieszkańcy Andaluzji, obowiązani byli swoim władcom, składać ofiarę, ze stu najpiękniejszych, miasta stołecznego i kraju, dziewcząt.

Ubrali więc ją odpowiednio, na przyjmowanie tak wspaniałego daru, rozpostarli w niej wdzięk, godny wdzięków, jakie stawały się hołdowniczym ich udziałem.

Ci, którzy po Maurach tu przyszedli, gdy sala ta razem z innemi niszczała, wdzięk ten zachowali, i choć im, niby Molochowi dzieci, — dziewcząt nikt już nie ofiarował, zrobili z niej komnatę, w której najpiękniejsze z dziewcząt świata, bez sromu rozpościerać mogłyby swoje powaby.

Sala piętrowa, unosi nad sobą oszkloną wdzięcznie galerję, a sama prostokątną swą przestrzeń, okala podobnie jak podwórze szeregiem kolumn, które Amicis, gdy bawił w Sewilli, i zachwycony kobietami jakie co krok spotykał, o kobietach bezustannie myślał, porównał w swoim opisie Alkazaru, do białych ramion kobiecych.

Kolumny te, lekkie i powiewne, podtrzymują tę oszkloną galerję, ale podtrzymują ją przy pomocy spajających je łuków, ubranych dokoła w sposób, w jaki ubrane jest tu i powyżej wszystko.

Wywołuje to efekt niezwykły, ile że sala jest wielka, kolumn po dwie w szeregu, kilkadziesiąt, a nad każdą ich parą, łuk przeskakujący do pary drugiej.

Ale ta sala, acz bogata, acz misterna niezmiernie, zachowuje jednak w ozdobach swoich miarę.

Za to ta, do której z niej przechodzimy, z miarą, jako żywo nie ma nic wspólnego.

Jest to sala Posłów, dzieło Karola V, nie dzieło, kaprys wszechwładnego monarchy, który w tem

królestwie architektonicznych kaprysów, stworzył coś takiego, co jedynie rozkapryszona fantazja stworzyć jest w stanie.

Jak to co się widzi opisać, od czego zacząć, na czem zatrzymać przedewszystkiem uwagę?

Kiedy się przekroczy próg tej sali, doznaje się takiego wrażenia, jak gdyby się znalazło w galerji obrazów.

Ale w galerji, której ściany od góry do dołu, zawieszono byłyby, jaskrawymi w złotych ramach, małąnkami płótnami.

Jak w takiej galerji, tak i tu, oko nie rozróżnia rysunku figur i linii, uderzone zostaje tęczowym barw chaosem, i tym chaosem olśnione jest doszczętnie.

A olśnione tak doszczętnie, że czas długi, patrząc na to wszystko, nie można się zorientować, jaka w tem wszystkim barwa przeważa.

Co tylko tu się znajduje: kolumny, łuki, a raczej półkola nad kolumnami, odrzwia, framugi okien, sufit i ściany, przeładowane jest kolorami tyloma, że jeden z drugim się klóci, jeden drugi przygięsza i spycha nieledwie w kąt.

Patrzysz, czerwieni się wszystko przed oczyma, i powiadasz sobie w duchu, że jesteś w sali z purpury, aliści przez okno w górze, wciska ci się do wnętrza promień słońca, purpura zaciera się w umyśle, kolor złoty wydobywa się na wierzch.

Nie na długo, bo w głębi framug uwypuklają się tęczowe mozaiki, roztaczając przed zdumionym twoim wzrokiem, wszystkie kolory tęczy.

Jakież przeciwieństwo tej sali posłów, z salą dziewic, z którą ona graniczy, jakaż przepaść między jedną i drugą.

I tam było bogactwo wielkie, i tam ozdób bez liku, ale gdy tu panuje chaos, tam królowała harmonja.

W miejsce krzyczących barw, biały kolor brał cię w swoje objęcia, i nie o potędze moenych tego świata, jak w tej komnacie Karola piątego kazał marzyć, ale o pięknych, czystych i smętnych córach uro-

czej Andaluzji, w dniach upadku i pohańbienia Hiszpanji, rzuconych na pastwę żądz nienasyconych, lubieżnym pogromcom wiary Chrystusa.

Te dwie sale trącające o siebie, zdawałoby się, że wyczerpały ozdobnicze natchnienie twórców i odnowicieli Alkazaru.

Gdzie tam, przechodzimy z nich do sal innych, i widzimy wszędzie, bujnie porozsiewane jego kwiaty.

Tu i owdzie jaskrawych barw mniej, tu i owdzie kolumny pousuwano na drugi plan, ale na każdym miejscu rzeźby, arabeski, mozaiki, na każdym wdzięczne łuki, porozwieszane nad wchodowemi wrotami.

To też każda z sal, jest tu niespodzianką nową, każda darzy nas nowym figlem, którego nie mieliśmy przed okiem, gdyśmy opuszczali salę poprzednią.

A że tych sal jest kilkanaście, przeto kiedy się po nich chodzi, doznaje się oszołomienia, które dopiero koi, nie zadziwiony niem bynajmniej nasz przewodnik, gdy nas wprowadza do ogrodów Alkazaru. I na łonie dopiero przyrody, pod wpływem jej harmonji boskiej, odzyskujemy spokój, jakiego nas widok rozwichrzonej architektury tych sal pozbawił, doprowadzamy powoli do równowagi, wytraconą z niej naszą duszę.

Ogrody Alkazaru, obcięte od czasów maurytańskich bardzo, rozpościerają się w tem samym, co za czasów maurytańskich miejscu. Piotr Okrutny, dla sprowadzenia być może uśmiechu, na twarzy ukochanej Marji, dorzucił do nich nowe, i razem z dwóch stron okalają one gmach, zagładając liśmi drzew swoich, do jego czarodziejskiego wnętrza.

Wszystkie niemal jakie są ogrody, podobne są do siebie, różnią się tylko jedne od drugich, rodzajami drzew, rozkładem i ubraniem alei,

Te, różnią się od wszystkich, jakie widziałem, i czemś nadto więcej.

Tajemniczością, jaka wśród nich panuje, ciszą grobów, jaka dokoła nich się rozpościera, wspomnieniami, jakie budzą w duszy.

Wchodzisz, i toniesz w morzu zieleni.

Zieleni, z jaką nie spotykało się w twoim kraju oko.

Zieleń bo to dalekiego południa.

A więc palmy, cytryny, pomarańcze...

Przedewszystkiem, ale nie wyłącznie, bo tu i owdzie wchodzi ci w drogę cyprys smętny, tu i owdzie kasztan rozpościera nad głową swoje konary.

A dalej, kaktusy i agawy, rododendrony, oleandry i maniolje.

Otaczają one w grupach większych i mniejszych ten gmach, i razem z nim przypominają ci na każdym kroku, zamarłą już bezpowrotnie przeszłość.

Myślisz o tej przeszłości

O Maurach, którzy w zaciszu tych drzew, układali plany wojenne, o nieszczęśliwej Blance Piotra Okrutnego, rzuconej tu bezlitośnie, zanim została zamkniętą w klasztorze, na pastwę smutku i łez, podczas, gdy niewierny jej mąż, u nóg innej szeptał słowa, które się jej należały, o uroczej jego kochance, odbierającej w tem miejscu hołdy pochlebców, i szydzącej z doli tej, której się stała szczęśliwą rywalką.

Przed okiem duszy przesuwają się cienie, jedne z uśmiechem na ustach, inne z ranami w sercach, widzisz te na pohańbienie niewiernych przywiedzione tu dziewice, oczekujące we łzach losu, jaki przemoc gotuje wszędzie słabości, jęk ich bolesny zagłuszają ci okrzyki weselne biesiadników Karola piątego, odprawiającego w tym pałacu i tych ogrodach, ślubne gody.

Patrzysz w dal, i przejmuje cię dreszcz śmierci.

Z poza kępy tych na ustroniu stojących drzew, wysuwa się powoli, zadumane widmo mroczne.

To Filip drugi.

Na jego widok pochylają się kornie do ziemi służalcze karki, wielu z dworzan, jak przed Bogiem, pada przed nim w pokorze na kolana.

On tego wszystkiego nie widzi, wszystkiem tem się nie cieszy ni porusza, stąpa powoli i sztywno naprzód, i utonawszy w głębokiej zadumie, o czemś myśli.

O czem? o szczęściu swoich poddanych, o tem,

ażeby pod każdą strzechą jego państw bezgranicznych, wesele i pokój wily sobie zaciszne gniazda?

Gdzie tam... To, nie stało mu nigdy na pamięci.

Obmyślił coś innego, rozjaśniło się jego oblicze, wchodzi do złotych sal Alkazaru, a za chwilę, ku nieszczęśliwej ziemi Holendrów, bieży na koniu byżo kurjer, z wyrokiem skazującym na śmierć tysiące ludzi, których jedyną było winą, że ośmielili się wierzyć inaczej, niż on.

Z Eskurjalu pod Madrytem, gdzie w ponurym jak jego duch pałacu, stale przemieszkiwał, nie było dnia niemal, by kurjer taki nie biegł ku wybrzeżom morza niemieckiego, zwiastując ich mieszkańcom, męczeńskie na stosie, lub pod katowskim mieczem katusze, miałyby Alkazar Sewilli, okolony tymi cudnymi ogrodami, dla tego tylko, że nie taki jak tamten posepny, być pod tym względem wyjątkiem?

Kiedy zatem i tu chwilowo gościł, dla przyglądania się odnowie pałacu, nie ustawał w świątobliwej pracy tępienia heretyków, oczyszczania ich grzesznych dusz, w ogniu nieconym wolą, urągającą swoim bezrozumem, Bogu miłosierdzia i przebaczenia, którego sądził, że jest umiłowanym sługą.

A dla jego następcy Filipa III-go, gdzież mogło być odpowiedniejsze miejsce, do planowania wypędzenia Maurów z Hiszpanji, pozbycia się z jej świątobliwego ciała wrzodu, który zakazał jej krew?

Więc i on, być może w tych pokojach, i pod cieniem tych odwiecznych drzew, wiódł z otoczeniem swoim narady w sprawie, którą uważał za najważniejszą dla Hiszpanji, i którą doprowadził do skutku, z okrucieństwem ciemnego fanatyka, ścinającym w żyłach człowieczych, krew.

Gdzież są zapytuję, ogrody, budzące tyle co te wspomnień, wstrząsające tak jak te, wyobraźnią?

Przebiegam myślą wszystkie jakie znam, i nie znajduję im podobnych.

Ani Watykańskie, ani Wersalskie, ani te, które przylegają do starego Windsoru w Anglji, nie mają tego pokostu na sobie, tego nawarstwienia, nie tylko

wieków odległych, ale wiar różnych, ludów wrogich, kultur i cywilizacji, dwóch zwalczających się wieki całe, światów.

Te,—mają.

I mówią też więcej od wszystkich innych, i stanowią unikat pod tym względem, zwracają ku sobie uwagę wszystkich, budząc głębokie refleksje, o znikomości i kruchości, nie tylko tych możnych a zuchwałych, których były kiedyś bujną areną, a dziś są wspomnień cichym cmentarzem, ale i tych zaborezych i prześladowczych idei, w służbie których przelali oni bezbrzeżne potoki krwi, wytoczyli niezgłębiony ocean łez.

Te tajemnicze ogrody Alkazaru, ubrane są basekami tajemniczych wód.

Drzemią one pod alkową z zieleni, i w swoich lustrach odbijają jej kształty.

I dodając im uroku niezwykłego, ten cichy cmentarz zamarych wspomnień, poetyzują duszy i oku, w niezwykły sposób.

I ktokolwiek nad nimi przystanie, wpływ tej poezji na siebie czuje, doświadcza wrażeń, jak gdyby z realnych ścieżek życia, zabląkał się nagle i niespodziewanie, w świat jakiś dziwny i nieznany, w świat snów słodkich o tem co było i przeminęło, o tem, czego jeszcze nie ma, ale co nadejść niechybnie musi.

Do potęgowania tych wrażeń, przyczynia się i twój, po ogrodach tych, przewodnik.

Podczas, gdy stoisz tak w zamyśleniu, oddala się do ciebie nieznacznie, a za chwilę, z kilkunastu miejsc twojej alei, wytryskują nagle ku górze, promienie wody.

Ukryty po za krzewami, porusza lekko ręką kran, i otacza cię niespodziewanie ich fontanną.

I sprawia, że na razie nie możesz się zorjentować co to jest, obracasz się na wszystkie strony, wytężasz wzrok, aby objąć widok jedyny, a tymczasem ponad twoją głową woda szemrze ci słodko pieśń jakąś dziwną, co cię osłupia i odurza doszczętnie.

I potrzeba czasu, abys z tego odurzenia się



otrząś, abyś wrócił do życia, ale gdy się otrząśniesz i do niego wrócisz, długo... długo, nie możesz zapomnieć wrażeń doznanych, bo podobnych nie doznałeś jeszcze nigdy.

Jakież to, dla dusz spragnionych nadzwyczajności, szczęście, że na tym pochodzie naszego, niewiadomo doprawdy dokąd, padole, znajdują się oazy, podobne do tych czarodziejskich Alkazaru sewilskiego ogrodów, pozwalające choć na krótką chwilę, unieść się ku podobłocznym nadziemskiego świata sferom, w błogiem zapomnieniu, o szarej prozie codziennej rzeczywistości, tak niemiłosiernie podcinającej wyobraźni naszej skrzydła.

---

#### IV.

**A**le nie tylko tą Giralda i Alkazarem, mówi Sewilla o maurytańskiej kulturze, która wyryła na niej, tak nie dające się zatrzeć ślady.

Dom Piłata, oddalony od tych dwóch budynków o kilka ulic, jest w niej nowem jej przypomnieniem.

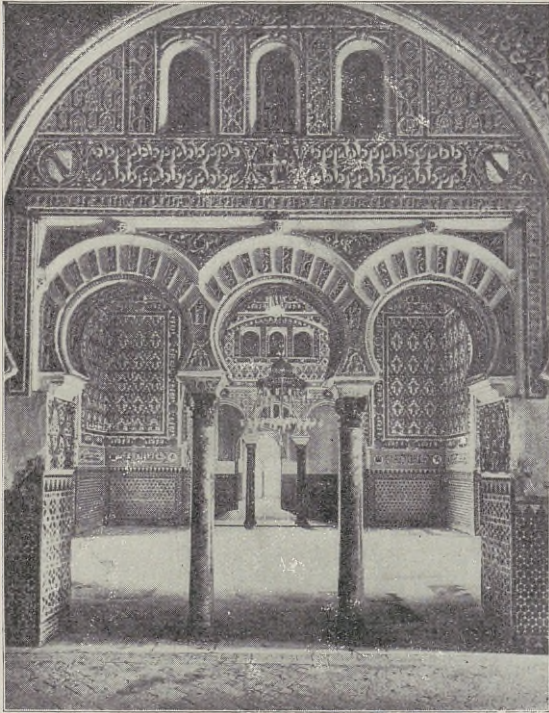
Nowem, bo powstał w czasach, gdy Hiszpanie złamali już doszczętnie potęgę Maurów, gdy pokonawszy ich orężem, trzymali, że się tak wyrażę na południu swojego kraju, na etacie wymierających, gotując się do wygnania ich z Afryki, i podkopania potęgi swojego państwa, na zawsze.

Dom ten jest kaprysem wielkich panów.

W XVI wieku, mieszkała w Sewilli bogata i wpływowa rodzina de Ribera, i ta przyglądając się odnawianiu przez królów Hiszpanji Alkazaru, postanowiła, zbudować dla siebie pałac królewski.

Budowała go długo, wezwawszy do wykonania robót artystów maurytańskich, nie szczędziła na ozdobienie go, na sposób maurytański, pieniędzy, a kiedy w kilkadziesiąt lat po rozpoczęciu pierwszych robót, dokonała swojego dzieła, mogła sobie powiedzieć, że jeśli nie wzbogaciła Sewilli o drugi Alkazar, to przynajmniej dała jej gmach oryginalny, z Alkazarem pozostający w powinowactwie.

W powinowactwie bliskim, bo i tu, jak w Alkazarze, styl maurytański jest głównym i podstawowym, bo i tu, motywa gotyku i odrodzenia, wplatają się w ozdobnictwo, obce im duchem, harmonijnie i wdzięcznie.



Wejście do sali posłów w Alkazarze.



Naturalnie, stawiać tego gmachu na jednej linii z Alkazarem nie podobna, na co było stać kilku monarchów wielkiego kraju, w ciągu czterech wieków, tego dokonać nie mogła najbogatsza nawet arystokratyczna rodzina, w perjodzie kilkudziesięciu lat, ale przyznać trzeba, że to na co się zdobyła, świadczy wymownie i o jej artystycznej kulturze, i o szczerobliwości na cele, nie mające nic wspólnego, z poziomymi celami, wielu karłowatych odrośli, naszego chociażby tylko kraju,—bogaty rodzin.

To też pozostawiła wszędzie w swym pałacu ślady swojego dobrego smaku, ubrawszy ściany jego arabeskami i mozaikami, dała mu prowadzące do wnętrza wspaniałe schody, jakim równych Alkazar nie posiada, w kątach sal estetycznych, poustawiała stylowe posągi, i zbudowała sobie szlachetny pomnik, na który cudzoziemiec spogląda z podziwem, a Hiszpan, z prawdziwą wdzięcznością.

Dla czego jednak piękny ten pałac, nazwała pałacem Pilata?

Podobno jeden z jej członków, Don Enriques de Ribera, odbył podróż do Ziemi Świętej, i podobno zobaczył tam gmach jakiś, który mu myśl takiej nazwy przywiódł do głowy.

Jaki?

Po Pilacie—pozostało jeno wspomnienie, nie znam Ziemi Świętej, ale wątpię bardzo, czy jaki tam mur przechował się w niezmiennym stanie, od jego do naszych czasów, sale i przedsionki, w których odbywał on swoje narady i sądy, dawno już pewno próchnieją w głębiach ziemi.

Więc dla czegoż ma to być pałac Pilata?

Nie wiem, i wątpię o tem, aby świadomym tego był ten, który go tak nazwał.

Ale trafnie czy nie, pałacem Pilata nazwany, dobrze jest że taką nazwę nosi, bo wielkim i małym tej Sewilli, gdzie, jak o tem się przekonałem, zwiedzając w dzień Narodzenia Pana, jej katedrę, tak ledwo dostrzezalnym płomieniem płonie ognik uczuć religijnych, przypomina najokrutniejszy z sądów świata, i przypo-

minając go, czasami chociaż, nieznacznie i ubocznie, od spraw i uciech tej ziemi, zwraca myśl i serca ku Temu, który w rzeczywistym pałacu tego nazwania, usłyszał wyrok, jeden z najniesprawiedliwszych, jakie wygłosiły usta człowieka.

Sewilla jest miastem rodzinnem jednego z najznakomitszych malarzy świata.

Bartłomieja Murilla.

Tu w roku 1617 przyszedł on na świat, tu spędził całkowity niemal swój wiek, tu wreszcie w roku 1682, złożył do snu nieprzespanego swoje ciało.

Kiedy się rodził, Hiszpanja nie miała już na swoim tronie ponurego tyrana Filipa II, ale syn jego, niedoleźny Filip III, za podszeptem złego swego ducha ministra Lermy, zdążył już był dokonać, najbardziej barbarzyńskiego czynu, jaki zamroczył nowoczesne dzieje Hiszpanji.

Wygnał z granic swojego państwa około miliona najspokojniejszych i najpracowitszych jej mieszkańców, za to tylko, że ci pochodząc od zdobywców Andaluzji Maurów, acz przyłączyli się do chrystjanizmu, zdaniem jego, w głębi sere swoich, czuli skłonność ku dawnej wierze.

Kiedy więc Murillo wzrastał w lata, miał już sposobność przyglądać się skutkom tego okrutnego bezprawia, czuć upadek powolny, ale nieunikniony ojczystego jego kraju, i miasta, w którym stała jego kolebka.

Jako pochodzący z rodziny ubogiej, nie po różach stawiał pierwsze życia swojego kroki.

Walczył bezustanku z przeciwnościami.

Artysta z Bożej łaski, wczesnie bardzo poczuł talent malarski w sobie, ale nie mając środków na rozwijanie tego talentu, po nad poziom mierności, nie był w stanie unieść głowy.

Sewilla, za jego czasów, słynęła z jarmarków, na które zjeżdżali się kupcy, aż z nowej części świata; dla nich więc za marny pieniądz malował rodzajowe sceny, lub epizody religijne, z prawdziwą sztuką nie mające nic wspólnego.

I byłby zmarniał, jak każdy, nie wzbogacony nauką talent, gdyby nie przypadek.

Przypadkiem tym, był przyjazd do Sewilli z Anglii, jednego z jego przyjaciół, który sam poświęcając się malarstwu, przywiózł z sobą mnóstwo kopji z obrazów Van Dycka.

Choć nie były to oryginały, wstrząsnęły przecież do głębi Murillem.

Poczuł gwałtowną chęć, zostania czemś więcej niż był.

Zaprzagnął pojechać do Flandrji, zobaczyć Londyn, a z powrotem zawadzić o Florencję i Rzym.

Odejmując więc sobie niemal od ust, zbierał powoli fundusze, i zebrawszy ich nieco, ruszył przez Madryt w drogę.

Ale poza Madryt nie wyjechał.

Zatrzymał go tam Velazquez, i nie wyrządził tym sposobem krzywdy sztuce.

Bo Madryt już za jego czasów, był w posiadaniu arcydzieł wszechświatowych pendzlów, bo opływając w pieniądze, wyciśnięte z ziem ujarzmionych za Atlantyką, część ich rok rocznie niemal, obracał na wzbogacanie swoich galerji.

Ujrzał więc w nich Murillo Tintoretów i Tizjanów, Rubensów i Van Dycków, jaskrawy koloryt Veroneza, Rafaela i Corregia, ukazał się po raz pierwszy w życiu jego oczom.

I z malarza na obstalunek, stał się w jednej chwili mistrzem, i kiedy, zrezygnowawszy z dalszej podróży powrócił do Sewilli, powrócił już do niej nie takim, jakim opuścił jej mury.

I zamknął się już w Sewilli, i przez czterdzieści lat bez mała pracował w niej, z młodzieńczym zapałem, zdobiąc jej kościoły i klasztory arcydziełami swojego natchnienia.

Ale nie tylko w Sewilli pozostawił ślady swojej ręki: Madryt, Paryż, Londyn, Monachium i Petersburg, w szeregu najprzedniejszych swoich płócien, posiadają jego prace, i kiedy się o nich wspomni, nie wiadomo co więcej podziwiać, czy tę wielką, nieledwie

bezprzykładną jego płodność, czy wszechstronność talentu, który nie ograniczał się jednym rodzajem.

Bo mylnie sądzą ci, którym się zdaje, że Murillo był tylko malarzem religijnym, że w świecie Madonn, dzieciątka Jezus i Świętych pańskich obracał się wyłącznie, dość zajrzeć do galerji poza granicami Hiszpanji, aby się przekonać o tem, że tak nie jest. Ujrzy bo się tam obrazy rodzajowe, walczące o lepsze z płótnami holenderskich realistów, i nabierze się przekonania, że rzucając na płótno te obrazy, miał on zmysł w tym artystycznym kierunku rozwinięty, nie w słabszym, niż ci realiści stopniu. Kto widział jego Chłopców, spożywających owoce, lub Dzieci bawiące się pieniędzmi w Muzeum monachijskiem, i porówna te dwa obrazy z młodym Chłopcem ozdabiającym Luwr, ten przyznać musi, że gdyby zarzuciwszy malarstwo religijne, temu rodzajowi wyłącznie się poświęcił, stanął by w nim na takich wyżynach, na jakich króluje w obrazach, przedstawiających sceny nie z tego świata.

A i „rodzaj“ (genre) nie tylko ma w nim przedstawiciela; dla wypoczynku malował on portrety i krajobrazy, dając świadectwo temu, że prawdziwy talent nie zna niemal granic, nie zamyka się w ciasnych ramach, buja po przestworzach, pozostawiając po drogach swojego pochodu, niedające się zatrzeć ślady.

Ale malując niemal wszystko, Murillo malował przeważnie religijne sceny. Dość zajrzeć do Muzeum w Prado w Madrycie, aby się o tem przekonać, dość przejść się po kościołach i klasztorach Sewilli, aby utwierdzić się w tem przekonaniu.

I tam i tu, z obrazów jego przemawiają głównie do nas postacie świętych, i tam i tu, Poczęta niepokalanie, cudownymi oczami spogląda z wyżyn, na nędzę naszą i nasze poniżenie.

A spoglądając, unosi nas w świat nadziemski, budząc w sercach żal za grzechy, i skruchę.

Choć Murillo całe swe artystyczne życie spędził wyłącznie w Sewilli, i malował dla Sewilli, nie pozostawił w niej przecież największej liczby obrazów. Spór o nie toczyły wszystkie niemal galerje Europy.



To też rozproszyły się one po świecie, i z wyjątkiem S-go Antoniego Padewskiego, nie najwspanialsze znajdują się w stolicy Andaluzji. Ale jest ich tu w Muzeum i Szpitalu Caridad, dostateczna liczba, aby jego genjusz jak należy ocenić.

Znany konserwator Muzeum w Pau, w południowej Francji, Paweł Lafond, charakteryzując tego malarza, powiada, że jest on malarzem „dusz czułych, marzących, pieśczośliwych i uczuciowych“.

Charakterystyka nadzwyczaj trafna, a uzupełniłbym ją tylko wyrazami: i ciał, skończenie pięknych.

Istotnie, bo czy się patrzy na jego S-tą familję w Luwrze, czy na Ucieczkę do Egiptu w Ermitażu petersburgskim, czy na Boskiego Pasterza w Prado w Madrycie, wszędzie się dostrzega te cechy: rozmarzenia w duszach, czarodziejskiego piękna w ciałach.

To, na co spoglądam w Sewilli, cechy te przypomina. Święci jakich tu mam, mają wszystkie właściwości wielkiego jego pendzla, w kształtach ich wszystkich widnieje doskonałość, w oczach błyszczy ogień wiary.

Widnieje i błyszczy wszędzie.

I w Jezusie, w S-tym Padewskim w katedrze, i w Dziewicy i Dziecku, w sewilskim Muzeum, i w S-tym Janie Baptyście, w szpitalu Caridad. Wszystkie te postacie spoglądają na mnie i na otoczenie całe, wzrokiem przenikającym i głębokim, wszystkie przyodziane są w formy skończone, wszystkie dokoła siebie rozciągają płomienną atmosferę wiary.

To też współcześni mu, patrząc na jego obrazy, wiarę krzesali w sobie, to też szli do nich w chwilach ciężkich i smutnych, by nadziei w moc Bożą nie tracić, a kiedy unieśli ku nim swoje oczy, nie upadali na duchu, ale niby pod wpływem złotoustego kaznodziei, krzepili się w cnotach, z którymi mężnie przechodzili przez życie.

„Dla poprawy dusz ludzkich,—powiedział współczesny mu, nauczyciel Velazqueza Pacheco, zrobił on bez porównania więcej, niż niejeden ksiądz w kościele“.

A dziś czy to samo robi?

Świątynie Sewilli, jeśli możecie, odpowiedzcie na to zapytanie, a jeśli odpowiedź wasza wypadnie nie po naszej myśli, nie wińcie o to na Boga! Murilla, ale ducha zobojętnienia i sceptycyzmu, jaki tocząc tu tyle serc, wyjałowił je, niby zaniedbaną przez nieopatrznego gospodarza ziemię, doszczętnie, rzucił bez steru na wzburzone, zbląkania i zwątpienia fale.

Nie wińcie, bo on jest tym samym, czem był dawniej, błyszczy tem, czem dawniej błyszczał, nie odmienił się wcale, ale świat i Sewilla na tym świecie, przeobrazili się doniepoznania, odcieśli przepaścią niezglębioną od epoki, którą on uświetniał, i w której błyszczy, jak na niebie gwiazda pierwszej mocy.

Czy przeobrazili się na lepsze, czy otrząsnawszy się z pyłu wiary, osiągnęli doskonałość, czy przybliżyli się do ideału, będącego ideałem ludzkości?

Dla pokłonienia się więc Murillovi, przed jego wspaniałemi płótnami i pomnikiem, jaki mu wdzięczna Sewilla postawiła, dla przyjrzenia się okazom budownictwa maurytańskiego, i tego, które na jego tle podstawowem fantazjowało przez cztery stulecia, przyjeżdża się do stolicy Andaluzji.

Ale nie tylko.

Jest ona, jak to już na wstępie tych moich wspomnień, zaznaczyłem, najweselszem miastem Hiszpanji, strącona ze stanowiska, jakie na półwyspie za Maurów i po odebraniu im tej ziemi zajmowała, pozostała kulturalnem środowiskiem całego dalekiego południa, i z dwóch tych więc względów, na pominięcie, gdy się jest za Pirenejami, nie zasługuje.

Więc chociażby się nie miało zmysłu dla sztuki, skoro się raz znajdzie w Barcelonie i Madrycie, zawadza się o nią prawie zawsze, i kiedy się ją opuszcza, nie żałuje się tego nigdy, bo się z niej wynosi coś takiego, czego się nie miało, ani spacerując po wspaniałych Ramblach barcelońskich, ani po smętnych alejach Buen Retiro, w stolicy kraju, fanatycznych Filipów.

Wspomnienie czegoś lekkiego bardzo, słodkiego, pieszczotliwego, i sprowadzającego na usta śmiech...

Czy Sewilla jest pięknym miastem?

Nie powiem.

Ma piękny plac San Fernando, piękny park porosły drzewami południa i północy: Paseo de las Delicias, tu i owdzie piękne europejskie domy.

Ale to wszystko nie składa się jeszcze na miasto piękne.

Na to potrzeba czegoś więcej, a przedewszystkiem—ulicznej perspektywy.

Tej Sewilla jest pozbawiona.

Z wyjątkiem niewielu, i to na jej krańcach, wszystkie ulice jakie tam są, załamują się w niemożliwy sposób, a że jak powiedziałem, są one przeważnie wąskie, przeto, jeśli dają oku jaką perspektywę, to zaledwie kilkudziesięciu przed sobą kroków.

Bez perspektywy jednak, ulice jej obyłyby się jeszcze jako tako, bez porządku jednak—nie.

A tymczasem porządku na nich niema.

Śmiecie pokrywają chodniki, lupinami owoców, i korzeniami jarzyn, zasłane są progi domów, co sprawia, że nie potrzeba być esteta, aby ku nim nie uczuwać pociągu, zwłaszcza, że to, co się na nich widzi, i powonienie na dotkliwą próbę wystawia.

Kiedym więc po Sewilli chodził, i przyglądał się uważnie jej bujnemu życiu, stawał mi na myśli Stambuł nad Złotym Rogiem, lub arabskie dzielnice Algieru i Tunisu, jak tam bowiem, tak i tu, brak czystości uderzał mnie na każdym kroku, jak tam, tak i tu, obojętność o higienę mieszkańców, zwracała wszędzie moją uwagę. Tylko, że gdy tam, miałem przy tem wszystkim powagę i spokój, tu mam gorączkowy ruch, kipiące życie dokoła.

Do tego ruchu i życia miasta, przyczynia się głównie—kobieta.

Kto z goszczących w Sewilli, o niej nie pisał, kto się nią nie zachwycał, kto na jej cześć nie składał prozą i wierszem pochwalnych hymnów?

Amicis utrzymuje, że gdy przyjechał do stolicy Andaluzji, i ujrzał ją po raz pierwszy w życiu, doznał zawrotu głowy, którą dopiero ochłodziły, przyprowadzając do porządku, fontanny ogrodów Alkazaru; Gautier unosi się nad jej kształtami, i powiada, że ma ona tak małą nogę, iż siedmioletnie we Francji dziecko, nie byłoby w stanie włożyć trzewika, dwudziestoletniej Sewillanki, a Guerlin, choć spokoju na jej widok nie traci, powtarza zdanie, że jest ona „uosobieniem życia, światła, ognia, i piękności, ożywionej płomieniem niebieskim”.

A Byron?

Dla niego Sewilla była rozkosznym miastem, słynnym pomarańczami i kobietami (famous for oranges and women), których jedna z uroczych przedstawicielek, odegrała nawet w jego poemacie rolę mistrzyni miłości, w życiu, największego, jakiego świat znał rozpustnika i bałamuta, Don Juana, i to odegrała z takim wdziękiem i maestrją, iż ten, przez kobietę sewilską, zagustowawszy w kobietach, życie już całe poświęcił kobiecie.

Ale nie tylko obcy przybysze do Sewilli, zachwycali się jej widokiem.

W całej Hiszpanji, słynie ona, jako wcielenie niepotykanego w żadnym z miast półwyspu, wdzięku.

Sławią ją wszyscy, nawet pieśń ludowa andaluzyjska, oddaje hold jej atrakcyjom niezwykłym.

„Kiedy udaję się do mieszkania,—śpiewa rozkochany w Sewillance,—gdzie mam zobaczyć moją najdroższą, zdaję mi się, że zbiegam ze schodów, podczas gdy schodząc od niej, jest mi tak ciężko, jak gdybym się wdrapywał pod górę.“

Czy rzeczywiście jest ona tak piękną, czy rzeczywiście wszystkie kobiety całego świata, pozostawia daleko za sobą?

Odpowiedzieć na to pytanie niełatwo.

Określmy ją w kilku słowach. Wzrostu średniego, kształtów zaokrąglonych i utrzymanych w mierze, zwraca ona uwagę, starannością niezwykłą swojego ubrania.



Sala w Pałacu Pilata.



Zarówno biedna, czy bogata, o ile tylko czuje się młodą, toalecie poświęca chwil sporo, to też gdy się na ulicy pokaże, ściąga ku sobie oczy.

W przeciwieństwie do włoszek, lubuje się w jaskrawych szatach, a że umie je nosić z wdziękiem, przeto, z brudnego tła ulic miejskich, wysuwa się na plan pierwszy, niby na spalonej od słońca szarej łące, powabny i woniejący, kwiat.

Co uderza, kiedy się ku niej wzrok skieruje?

Kokieteryja w ułożeniu włosów na głowie.

Bez przesady powiedzieć mogę, że tak starannie codziennie czesanych kobiet, jak w Sewilli, nie spotyka się nigdzie.

O damach naturalnie nie mówię, gdzież bowiem na świecie, nie pamiętają one o największej ozdobie swojego ciała, tu jednak, każda służąca, skoro przestąpi próg kuchni, mogłaby głowę swoją wstawić, jako model, w okno fryzjerskiego zakładu.

Godziny więc całe trawić one co rano przed lustrem chyba muszą, skracać sen, by ukradziony mu czas czesaniu i opięciu głów poświęcić, i pod tym względem, nie mają sobie podobnych chyba nigdzie.

Jeżeli się teraz zważy dobrze, tę staranność w ubraniu i opięciu głowy, nie trudno będzie pojąć, że każda ze sprawczyń tego wszystkiego, wywoływać musi wrażenie dodatnie, a pojmie się to tem lepiej, gdy się do tego doda: cerę białą, niby marmur z Karyary, włosy czarne, niby heban z Brazylii, oczy błyszczące, niby gwiazdy z nieba.

I jak powiadają anglicy: ostatnie, ale nie najmniej ważne“ (last, but not least)—nogę tak dalece wyróżniającą się, swoim drobnym kształtem, od nóg innych kobiet, że niemniej złośliwa jak piękna Sewillanka, nie waha się utrzymywać, iż w trzewikach tych kobiet, a zwłaszcza też niemiek, możnaby, jak w barkach, pływać po Gwadalkwiwirze.

A teraz, zestawcie to wszystko w waszym umyśle, i wyręczcie mnie w odpowiedzi na drażliwe pytanie, czy kobieta Sewilli jest najpiękniejszą kobietą na świecie.

Aby nie ściągnąć na siebie burzy kobiecej, na pytanie to, nie odpowiem.

Otóż takie są fizyczne przymioty Sewillanki.

A duchowe?

Ci, którzy obcowali z nią i pisali o niej, streszczają je w jednym wyrazie:

Temperament.

Ognisty, żywy, nie hiszpański, i nie maurytański, ale w dwóch tych tak różnych narodowościach, zagłębiający swoje korzenie.

I wytwarzające produkt jedyny,

Krzew, dwóch klimatów.

Kwiat, dwóch kultur.

Duszę dwóch odrębnych światów.

Gdy ten krzew i ten kwiat się poruszają, dusza się śmieje, ożywia więc sobą wszystko, wszystko, co żyje, pod tem gorącym niebem, ukazując w tęczowym świetle.

Śmiechu, muzyki, tańca, pieśni.

A teraz, kto się zadziwi, że istota tak powabna, i tak żywa, skrzepnąć otoczeniu swemu nie dozwala, kto nie rozgrzeszy tej Sewilli, z jej lekkości i wesołości, gdy ta, która powinna być, jako doskonalsza od nas, bez grzechu, lekkość i wesołość bezustannie na nią zlewa?

Ale choć dla niej i przez nią wesoła i lekka, jest przecież ta Sewilla andaluzyjska, kulturalnem środowiskiem całego południa Hiszpanji.

Ma uniwersytet, dwie publiczne biblioteki, wystawy obrazów, muzeum.

Więc ściąga ku sobie nietylko tych, którzy chcą się pośmiać i zabawić, ale i tych, którym poważne studja w głowie.

I współzawodniczy pod tym względem z Madrytem, i promieniuje niby słońce dokoła, i w rzędzie miast półwyspu pirenejskiego, wyróżnia się znacząco i zaszczytnie, w duchowem życiu Hiszpanji, odgrywając wybitną rolę.

To też Hiszpan, wyraża się o niej z dumą, jak my o Krakowie, a cudzoziemiec, gdy opuści jej mury,



długo jeszcze rozstać się nie może, z jej fantastycznym, czarodziejskim obrazem, o którym gdy pod ołowianem niebem ojczyzny swej, pomyśli, robi mu się na sercu lżej, a przed okiem duszy jego, pogodniej i jaśniej.

Skutek to cudu, którym ma być Sewilla, czy też rzeczywistości, która w Sewilli, na pograniczu cudu stoi?

---

V.

**K**ażdy medal przecież ma dwie strony.

I Sewilla je ma.

Czarodziejska, wesola, pulsująca bujnem życiem, jest ona położoną nieładnie.

Na płaszczyźnie.

W miejscu, gdzie się od wieków rozsiadła, góry Sierry Moreny już się skończyły, a Sierry Nevady, jeszcze nie zaczęły, otoczona więc jest dokoła rozłozystemi polami, które gdzieniegdzie tylko falują.

Usiane białymi domkami, pola te przedstawiają się malowniczo, ale jednostajnie, i miasto ogołacają z dekoracji, jaką góry miastom dają.

Wiadomo, jak ważną rolę w rozrywkach hiszpańskich, odgrywają walki byków. Otóż na tych polach, hodują się całe ich stada, używając swobody, dopóki człowiek, dla zaspokojenia swoich barbarzyńskich instynktów, nie porzuciła je na rzeź do cyrków. Kto się więc zapuści w głąb kraju, ma sposobność przyjrzenia się, rogatego świata, wspaniałym i niezwykłym okazom, które pielęgnują się tu troskliwie po to tylko, aby gdy lato nadejdzie, cieszyły wzrök, znieczulony na cierpienie ludzkie, obrazem męki i konania. Patrzałem dwukrotnie już dawniej, dla studjowania charakteru nieznanego narodu, na te męki: w San Sebastian i Madrycie, nie wydalilem się więc poza progi Sewilli, gdyż widok tych, spokojnie pasących się na polach Andaluzji zwierząt, przypominałby mi okrucieństwo, więcej krwiożerczego nieraz, od zwierzęcia człowieka.

Kiedy zatem nadszedł czas rozstania się z tem miastem, rozstania, kto wie, czy nie na zawsze, postanowiłem kroki moje skierować nie tam, gdzie ten człowiek hoduje pokarm, dla zaspokojenia dzikich swoich instynktów, ale tam, gdzie, stłumiwszy te instynkta, a wzmógłszy siły, nieśmiertelnego, spokrewnionego z bóstwem, swego ducha, ujarzmił morze, i zapanował nad jego żywiołową, niszczycielską nieraz potęgą, na jego rozhukanych falach, w wątlej łupinie, jeśli nie niósł zawsze dotąd, to nieść zawsze powinien dalekim ludom: wolność, pozdrowienie braterskie, i uścisk dłoni.

Postanowiłem jechać do Malagi.

Ze względu, że Sewilla otoczona jest płaszczyną, droga do Malagi, płaszczyną prowadzi zrazu.

Prowadzi długo.

Bo z wyjątkiem pociągów bezpośredniej komunikacji, te, które nie służą do użytku miast wielkich, idą w Hiszpanji powoli, przystają na najmniejszych stacjach, nie spieszą się wcale.

I mój więc nie spieszył się, na co jednak bynajmniej się nie gniewałem, gdyż dało mi to możność, przyjrzenia się dokładnie, nieznanemu krajobrazowi.

Wprawdzie, zrazu krajobraz ten, nie zatrzymywał na sobie dłużej mojego oka, jednostajny, aż do znudzenia, nie darzył go niczem nadzwyczajnem w miarę jednak jak zaczęliśmy się zbliżać ku morzu Śródziemnemu, skupił na sobie moją uwagę.

Bo wjechaliśmy w świat długo nie widziany, — w świat gór.

I jakich jeszcze!

Gór Granady, jednych z najpiękniejszych i najdzikszych, jakie stroją południową Europę.

W przeciwstawieniu do Andaluzji, pokrywają one całą tę prowincję, swoimi garbami, nadając jej charakter dziki, ale i malowniczy nadzwyczaj.

Tę dzikość, mam już przed sobą, gdy przystaję przy stacji Bobadilla, ale w miarę, jak się posuwam na południe, wyciska ona na wszystkim dokoła swoje piętno.

Kolejowy tor, wkracza w dolinę górskiego potoku Guadalhorce, i bieży nią, między kamiennymi ścianami, przebywa liczne mosty i tunele, a że spadek drogi jest znaczny, przeto biegnący nim pociąg, przebywa je również, ze wzmożonym pośpiechem.

Nareszcie przystajemy przy małej stacji Charro.

Przystajemy, aby wkrótce, po rozstaniu się z nią, znaleźć się nagle w świecie tropikalnym.

Słońce, od którego odcinały nas powyżej tej stacji góry, świeci blaskiem jaskrawym, gdzie okiem rzuce, pomarańcze, cyprysy, palmy.

Mnie to nie dziwi, bom miał to, choć nie w takiej ilości, i w Sewilli, ale kto jedzie wprost z Madrytu, gdzie zima nie należy wcale do przyjemnych pór roku, doznaje nagle złudzenia, że znajduje się w Afryce.

Tyle <sup>st</sup>tu światła, barw, woni.

I pod wpływem już tego złudzenia, dociera razem zenną do morza, i razem wjeżdża w mury miasta, najbardziej rewolucyjnego ze wszystkich miast Hiszpanji, i kto wie, czy ze wszystkich, nie położonego najwspanialej.

Otrząśnijmy pył z naszych ubrań podróжных, w hotelu „Roma“ na Paseo de la Alameda gdzie przystajemy, i przyjrzyjmy się tym wspaniałościom.

Po jednostajności pejzażu sewilskiego, pożąda go, spragniona piękna przyrody, nasza dusza.

---

## VI.

**P**asseo de la Alameda, gdzie stoi hotel Rzymski, w którym się zatrzymałem, jest to piękna szeroka aleja, ciągnąca się równoległe od morza.

Ozdabiają ją po bokach gustowne, europejskie domy, a w środku rozłożyste platany, porastające ją dwoma rzędami. I darzące przechodniów tak pożądanym na południu cieniem, gdy opuściwszy progi mieszkań, pod sklepieniem nieba, zażyć chcą, po pracy, wypoczynku.

Aleja ta długą jest na 420 metrów, ale dbali o rozrost Malagi, ojcowie miasta, uplanowali jej przedłużenie aż do cyrku, do walki byków. Gdy projekt ich wykonany zostanie, wtedy zaliczyć ją będzie można, do najwspanialszych miejsc spacerowych w Europie.

Przechodzimy ulicę margrabiego de Larios, i spoglądamy przed siebie.

Uczuwamy charakterystyczny zapach morza.

Weiska tu się ono szerokim rękawem, ujętym sztucznie w kamienne brzegi, tworząc port, niewielki lecz wygodny.

Znajoma więc woń, dla tych wszystkich, którzy morze zobaczyli, rozlega się dokoła, budząc rozkoszne marzenia o przyjemnościach, gdy się znajdzie na jego pełnych uroku, ale i niebezpieczeństwa falach.

To na prawo, od tego projektowanego przedłużenia Paseo de la Alameda, a wprost?

Na rozległej przestrzeni, piętrzy się majestatyczna góra, schodząc aż ku wybrzeżom morza śródziem-

nego, a na jej szczycie stara twierdza, z czasów arabskich, przypomina, kto tu dawniej był władcą. I przypominając, nadaje tej górze cechę malowniczości i grozy, i ubierając ją odwiecznymi murami, panuje nie tylko nad samem miastem, lecz i nad bliższą i dalszą lądową i morską okolicą.

Twierdza ta: Gibralfaro, wzniesioną tu została w XIII wieku.

Nie mogła być wzniesioną w lepszym miejscu. To też kiedy Granada zalaną była powodzią arabską, ztąd wychodziły zbrojne hufce, utrzymujące kraj w posłuszeństwie, a gdy Ferdynand i Izabella katolicka, zatrzymowali ostatecznie nad wrogami chrystjanizmu i Hiszpanji, tu stoczony został ostatni krwawy pojedynek.

I pod naporem oszołomionych zwycięstwem, ożywionych podniosłą ideją, padła ona u ich stóp, a z jej upadkiem, została zamknięta na zawsze, księga panowania na zachodzie Europy wyznawców wiary Mahometa. Zamknięta nie ku chlubie Hiszpanji, bo odtąd zaczęły jej karty zapisywać mroczne duchy, słowami ucisku, ciemnoty i nietolerancji, zanim ostatecznie wtrąciły ją w głęboką przepaść, gdzie dotąd pozostaje.

Dziś więc jest już ta twierdza, archiwum krajowych pamiątek, ale choć Hiszpanji obecnie nie nie zagraża, zwłaszcza od strony, zktąd dawniej podnosiła się ku niej opancerzona pięść, przecież utrzymywaną jest w obronnym stanie, w przewidywaniu niby niebezpieczeństwa, które nie nastąpi nigdy. Afryka bo północna, od której tyle wieków bronić się potrzeba było, dziś skrzępowana przemocą Europy, nie o odzyskaniu swojego wpływu w Europie chyba myśli.

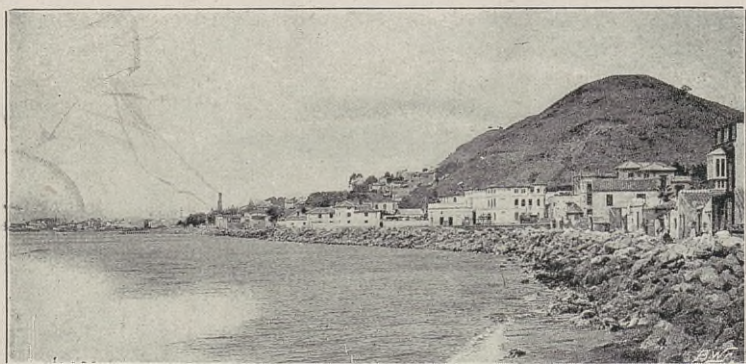
Twierdza arabska, rozpościera się więc malowniczo na górze.

I szerokimi swoimi murami, zstępuje z góry.

Zstępuje ku starej dzielnicy, żywcem jak gdyby do Europy z Afryki przeniesionej.

Charakterystyczna to dzielnica.

Nie ma podobnej ani Sewilla, ani Granada, ani



Malaga od strony morza.





żadne z miast Hiszpanji, gdzie panowali niegdyś Maurowie.

Nie na płaszczyźnie, lecz na pochyłości rozpościera się ona, piąć się zatem potrzeba, kiedy się zapoznać z nią zapagnie.

Piąć wśród budowli, jakich nie spotyka się nigdzie.

Postępujesz ku górze, po drodze pełnej gruzów i wybojów.

Na prawo i na lewo drzwi i okna.

Nie wprowadzają one przecież jako żywo, powietrza i światła, do prawidłowych domów, ale do murów, po za którymi ciągną się, puste podwórza, i do komórek, raczej do składów rupieci, niż do ludzkich mieszkań podobnych. Mury te i komórki, biegną łamaną linią, wchodzą ci co krok w drogę, tamują pochód naprzód, dając oku prawdziwy obraz, nędzy i rozpacz.

Gdyby nie to niebo, wiecznie pogodne, nie to słońce, wiecznie świecące, żyć by tu było niepodobieństwem, w błogosławionych przecież warunkach klimatycznych miasta, żyją tu tłumy.

Jakie tłumy?

Dobrze znanych na południu Hiszpanji: „Gitanos“.

Widzieliśmy już ich w Sewilli, spotkamy się z nimi w Granadzie; tu zajmują oni całą dzielnicę, nadając jej charakter odrębny.

Jak gdyby koczownicy.

Bo mieszkają na ulicy, a w czterech ścianach pustych swoich izb, czują się jak gdyby na obozisku.

O cerze śniadej, włosach czarnych, i ognistych oczach, wałęsają się więc od rana do nocy, na stokach góry, a z czego żyją, Bóg to chyba jeden wie.

I ich siedziba kiedyś, nosząca nazwę: Alkazaba, podobnie jak ta twierdza obok, nie była tem, czem jest dziś.

Za Maurów, dawała pomieszczenie bogaczom i wojownikom, zabudowana była pałacami, stanowiła przedłużenie fortecy.

Teraz, z fortecą związek przerwała, bogaczów widzi tylko czasami, gdy im przyjdzie ochota przyjrzeć się jej nędzy, i zamknawszy się szczelnie sama w sobie, tworzy w Maladze świat odrębny od Malagi.

Świat innej rasy, innej wiary, innego języka, innych obyczajów i zwyczajów.

I kto wie, czy tworząc tu świat taki, nie czuje się szczęśliwszą od nas w tym świecie, i czy nędzarze, a może i nędznicy, snujący się po labiryncie, nie ulic jej, jeno kanałów, wyzbywszy się z wszystkiego, czem życie do człowieka w naszym świecie się śmieje, na pochodu swego drogach, nie spotykają mniej od nas, krwawiących nogi kamieni.

Kto ze zwiedzających Hiszpanję, o Malagę zawadzi, Alkazabę widzieć koniecznie musi, w tem mieście bowiem, pozbawionem gmachów pięknych i ulic wspaniałych, którym by się przyjrzeć warto, jest ona osobliwością niezwykłą.

Mimo swoje opuszczenie, brud i nędzę.

Odcina się od reszty miasta, stanowi w niem jak gdyby odrębną oazę, jest czemś przeniesionem żywcem, z Afryki pod hiszpańskie niebo.

Spotykałem podobne jej dzielnice w Algerji i Tunetanji, ale i w Algerji i w Tunetanji, zlewały się one z otoczeniem.

Tu, stanowi ona dysonans. Na przekór przecież dysonansom w muzyce, nie odpycha lecz przyciąga, a przyciągając, zaciekawia. I dla tego, przyglądałem się z zajęciem i jej walącym się murom, i jej wygrzewającym się dzień cały na słońcu ludziom, bo widok jednych i drugich, przenosił mnie na wyobraźni skrzydłach, daleko na południe, po za to morze i góry Ałtaju, w stronę spieczonych Sahary piasków, ku oazom El Kantary, i Sidi Okba.

I przypominał, mimo ubrań różnice, ich mieszkańców, gardzących również wszelkimi wygodami życia, i również nie troszczących się o jutro, mimo że dziś, nie wiedzą jak dzień zakończą.

Malaga pozbawiona jest gmachów wspaniałych i szerokich ulic.

Nie inaczej, i choć liczy sto kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, patrzy na miasto trzeciorzędne i bez znaczenia.

A jednak tak nie jest.

Posiada bo port wspaniały, prowadzi handel rozległy i ożywiony. Jej rodzinki, rozchodzą się po całym świecie, a wino daje utrzymanie i chleb tysiącom rodzin.

Położona w okolicy niezmiernie urodzajnej, słynie ona z pomarańcz i fig, podczas gdy nadto, ziemia jej produkuje melony, migdały, i oliwki, a podmywające jej progi morze, niesie jej w ofierze wielką obfitość ryb.

Powinna więc być ruchliwą bardzo, zwłaszcza, że i przemysł w niej nie drzemie, że posiada znaczną ilość fabryk, wytwarzających cukier, przetwory żelazne, i wyroby bawełniane.

Mimo to ruchliwą nie jest, mając poddostatkiem darów nieba, o dobra ziemskie zdaje się nie troszczyć, wyróżniając się znacząco od innych miast portowych całego świata, gdzie życie rozsadza ramy, gdzie wre i kipi, i gdzie człowiek spoglądając na morze, nie spoczywające ani przez chwilę, czerpie w niem zachętę do działalności, znaczącej ślad na lądzie i na morzu.

---

## VII.

Ale jednego budynku pominąć nie można, kiedy się o Maladze pisze.

Katedry.

Wyróżnia się bowiem ona ze wszystkich gmachów, jakie tam są.

I przeciwstawia katedrze sewilskiej.

Przeciwstawia, harmonją i wdziękiem.

Bo w przeciwieństwie do niej, jest zrównoważoną pod każdym względem, daje obraz czegoś powabnego i słodkiego.

I gdy tamta, jest, gdy się jej z zewnątrz przygląda, uosobieniem chaosu i rozwichrzenia, ta w całości i w szczegółach, darzy oko miarą i proporcją.

Wzniesiona, w miejscu zrównanego z ziemią meczetu, w stylu Odrodzenia, poruszona została w posadach swoich w roku 1680. Malagę i wybrzeże przyległe morza Śródziemnego, nawiedziło wtedy silne trzęsienie ziemi, i ofiarą jej padła między innymi katedra. Na szczęście jednak, runęły tylko jej części, całość uchwalała się nienaruszona, odbudowano więc kościół, zachowując od zniszczenia gmach, będący dotąd ozdobą miasta.

Ale odbudowywano go powoli, bez mała sto lat, tu i owdzie więc zatarto plan pierwotny, nie zatarto go przecież doszczętnie. Pozostał więc stylowym okazem w całym znaczeniu tego wyrazu, i w tem mieście bez żadnego stylu, zwraca uwagę znawców sztuki.

Bo rzeczywiście, ta cała Malaga—to zlepek gmachów, z żadnym stylem nie mających nic wspólnego.

Chodzisz po niej z głową podniesioną do góry, i nie dostrzegasz (z wyjątkiem tej katedry jednej), żadnej budowli, któraby dłużej zatrzymała na sobie oko.

O Alkazabie mówiliśmy, poza tą Alkazabą jednak, są rozległe dzielnice, wciśnięte w góry, okalające je ze wszystkich stron.

Otóż każdą z tych dzielnic, możnaby wstawić w każde miasto Europy, i nie czułaby się tam żadna z nich, na niewłaściwym miejscu.

Domów pięknych wprawdzie tu nie brak, ale podobne są one tak do siebie, że kiedy im się przygląda, przychodzą na myśl słowa Mickiewicza, opisujące w niezrównanym jego Petersburgu, bohaterów przeglądu wojska:

„Tak podobne sobie,  
Jako rząd koni żujących przy żłobie,  
Jak kłosa, w jednym uwiązane snopie,  
Jako zielone na polu konopie,  
Jak wiersze książki, jak skiby zagonów,  
Jak petersburskich rozmowy salonów“.

Takimi są rzeczywiście domy Malagi.

Jednostajność i szablon, oto ich cecha.

To też nie dziwnego, że nie znajdując na nich i w nich nic godnego uwagi, ucieka się w okolice miasta, by tam, na łonie natury przypomnieć sobie, że się znajduje na ziemi, kto wie, czy nie najpiękniejszej w całej Hiszpanji.

I najbujniejszej.

„Hacienda de San José“, i „La Concepcion“ — oto nazwy dwóch miejscowości pod Malagą, które zobaczyć powinien każdy, kto się chce naocznie, o bujności przyrody miejscowej przekonać.

Położone w odległości trzech wiorst kołowej drogi, są one właściwie ogrodami, ale ogrodami tak bogatymi w tropikalną roślinność, że uważać je raczej należy, za olbrzymie doświadczalne stacje tego, co ten klimat bez szwanku hodować może.

Czego bo tu, w tych ogrodach nie ma?

O palmach i cyprysach nie mówię, choć spotykam je tu na każdym kroku, flora jednak najdalejzego południa, rozpościera tu swoje bogactwa, jak gdyby to już było dalekie południe.

Many więc tu drzewa korkowe, bambusy i banany, kaktusy i agawy olbrzymiej wielkości.

Wszystko to rośnie pod gołym niebem, nieosłonięte najłżejszym pokryciem, dochodzi rozmiarów takich, jak gdyby to była ich prawdziwa ojczyzna.

Nie dziwnego, góry od północy zasłaniają Malagę doszczętnie, śnieg jest tu gościem niezmiernie rzadkim.

Bawię w Maladze w ostatnich dniach grudnia, a zdaje mi się że to jest czerwiec; gdzie okiem rzucę, zieleń i kwiaty, a nademną jaskrawe słońce.

Wspominam rozmaite miasta południa, które zwiedzałem również o tej porze, i nigdzie niczego podobnego nie znajduję.

Ani w Neapolu, ani na Sycylii, ani w Nicei i Ajaccio na Korsyce.

A tu?

Idę na wybrzeże morskie wczesnym rankiem, mijam cyrk do walki byków, dochodzę pomostem kamiennym do latarni morskiej, opieram się o nią, i patrzę w dal.

Przedemną jasnoniebieskie zwierciadło wodne, długie, szerokie, bez końca.

Takiego nie widziałem o tej porze nigdzie.

Odbija lazur nieba, chłonie w siebie żar naszej gwiazdy dziennej, która, choć jest tak wcześnie jeszcze, już rozpościera całe swoje bogactwo.

I ożywia i rozwesela wszystko.

Chłopcy obok biegają w ubraniach letnich, mnie ciąży na ramionach to, które niepotrzebnie przywiozłem tu z sobą, i którego pozostawić w hotelu zapomniałem.

Myślę o tem, co za wspaniałą możnaby w tem miejscu urządzić stację klimatyczną, dla chorych, nie znoszących podróży morskiej do Egiptu, i radość mnie

przejmuje, że kiedyś może, gdy się ta Malaga uporzędkuje, nie potrzeba będzie całych legionów cierpiących, trudzić daleką drogą w stronę Afryki, gdyż tu Europa jest już prawdziwą Afryką.

Przez kojarzenie się pojęć w głowie, przypominam sobie, że był czas, gdy Hiszpanja od Afryki nie była rozłączoną, że stanowiły one jedną całość, i nie dziwię się temu wcale, iż kiedy rozerwało je, już na wieki morze, jedna drugiej, przez uprzejmość, pozostawiła coś tak wspaniałego w darze.

Coś, co się tak odcina od reszty Hiszpanji, jak Afryka od Europy.

W oświetleniu jaskrawego słońca, taluje mi w oczach to morze, mieni się przeróżnemi barwy, uderza miękko o ten rozkoszny brzeg, rozbija się o jego skały.

Więc spoglądając na nie znowu, myślę, ale już o czem innym.

Bo, odbija mi się w jego wodach maurytańskie zameczysko Gibralfaro, wraz z duchami tych, którzy je tak bohatersko bronili, których krwi gęste potoki, rumieniły szczyt tej góry. Widzę ich, jak niezastraszeni przemocą wrogów, walczą zaciekle o każdą piędź ziemi, jak rozplomienieni ciągłymi zwycięstwami Hiszpanie, strącają ich w wodne topiele, depeząc sztandary ozdobione półksiężycem, zapełnione sentencjami z koranu.

I podziwiając tamtych odwagę, podziwiam tych wiarę i męstwo, kłonię głowę przed ich miłością ojczyzny, której w siedmiowiekowej z niewiernymi walce, dali tak budzące głęboką cześć, dowody.

Ale oto, karta wspomnień moich, na widok tego tu morza, gwałtownie z szelestem się odwraca.

Zwycięscy, w kolei czasów, maleją mi w duszy oczach, szyszak tryumfatorów plugawią w poziomych namiętności, błocie.

Gibralfaro i Malaga zdobyte, najeźdźcy wygnani do Afryki, nad Hiszpanją, jedną i niepodzielną, rozpościera swe ramiona krzyż.

Serc przecież nie podnosi ku sobie, nie ożywia miłością i miłosierdziem, których jest tak podniosłem godłem.

Tron Hiszpanji obejmuje Filip II, a pod jego zabójczym wpływem, jad nienawiści ku wyznawcom innej wiary, zakazała wszystkim jej mieszkańców, krew.

I na całym obszarze państw jego, rozpoczynają się prześladowania, kat nie odpoczywa ani przez chwilę.

Do spółki z krwiożerczym Albą, całun żaloby rozpościera on nad całą Holandją, a jeśli nawróconych w południowych prowincjach Hiszpanji Maurów, pozostawia jeszcze w spokoju, to dla tego tylko, że na wznoszenie nowych rusztowań, nie starczyło mu już sił.

Ale czego on zrobić nie zdołał, robi jego następcę.

Nie zadawała go już to, że większość maurytańskich mieszkańców Andaluzji i Granady, przyjęła chrystjanizm, że porzuciła język arabski, drogą po ich ojcach spuściznę, że im odebrano ich stare księgi i odwieczne ubrania, że poniszczono ich kąpiele i łaźnie publiczne, by nie przypominały im, zamięłowanych w czystości ciała i porządku, ich przodków...

Nie zadawała go to...

Ulegając radom ciemnych fanatyków, grzebiących z rozkoszą w ludzkich sumieniach, w przekonaniu niemądrem, że tym sposobem hołd Stwórcy oddaje, postanawia pozbyć się ich z kraju, wyrzucić przemocą za to tu morze.

I wyrzuca.

Wyrzuca z zimną krwią, dzikiego i obłąkanego tyrana, dla którego ludzkie cierpienie stanowi rozkosz.

Krew się ścina w żyłach, włosy powstają na głowie, gdy patrząc ciągle z tego uroczego wybrzeża Malagi na morze, które było świadkiem ich cierpień, wspominam jego okrutny czyn.

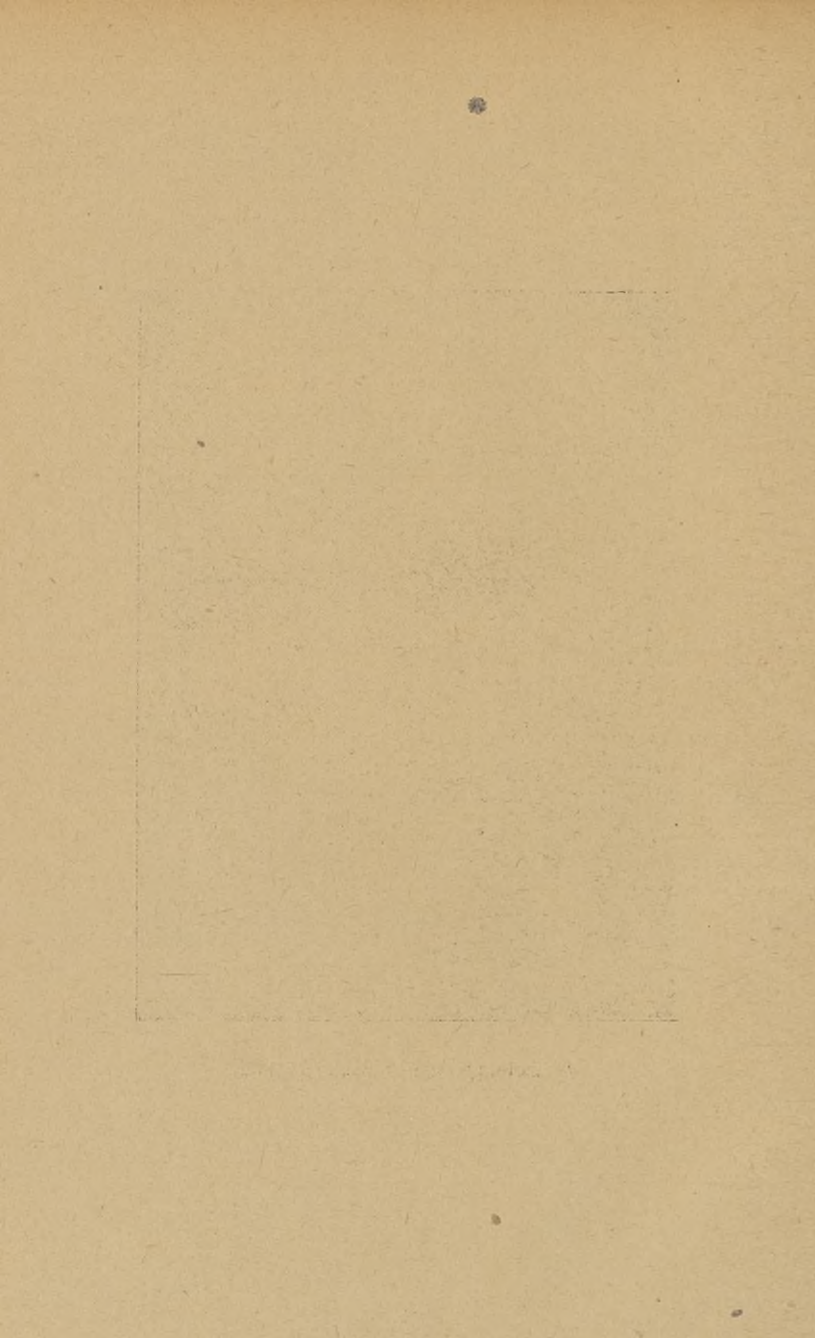
Bo cóż mi staje na pamięci?

Miljon najspokojniejszych i najpracowitszych mieszkańców, wyrwanych z ich siedzib, i wtłoczonych przemocą na okręty...





W dzielnicy maurytańskiej Malagi.



Tysiące pomordowanych przez załogi statków, zanim dobiły do brzegów Afryki...

Reszta, zaledwie wyrzucona na jej skalistą ziemię, i wepchnięta w piaski Sahary, ograbiona przez Beduinów pustyni...

To wszystko działo się niecałe trzysta lat temu, na tem morzu, lub dokoła tego morza.

Z miliona ust mężczyzn, kobiet i dzieci, szedł ztąd wtedy ku niebu, jeden głośny, bezbrzeżny i beznadziejny, jęk.

Otóż to wszystko widzi się tu i słyszy, kiedy się stanie w tej Maladze nad tem morzem, kiedy się wzroku stojącej na straży, tego miasta górze, ozdobionej maurytańskim zamkiem, zwróci.

Widzi się i coś więcej. Że ci tryumfatorowie nad wiarą Mahometa, złożyli tu egzamin, upokarzający ich i smutny, za który rumienić się powinni ich następcy.

Egzamin barbarzyństwa, zatwardziałości uczuć, głupoty.

I lituje się, nie nad ich ofiarami, lecz nad nimi, bo ręką własną dorzucili głównie do stosu, na którym spłonęły doszczętnie, szczęście i pomyślność ich kraju.

Ale teraz wesoło tu i spokojnie.

Słońce świeci, morze szmerze po kamieniach wybrzeża, w powietrzu czuć zapach pomarańczowych drzew. Prócz tego tu w pobliżu cyrku do walki byków, nie nie świadczy o dzisiejszej dzikości Hiszpanów, o stopniu ich uczuć, zlodowaceniu serc.

Krażą swobodnie dokoła mnie, spuszczaają rybackie barki na fale lazuru, myślą o jasnym i pogodnym „dzisiaj”, nie wspominają ponurego i burzliwego „wczoraj”.

I mają rację, bo to „wczoraj” pokryło ich niestartą hańbą, doprowadziło do ruiny ich kraj.

I jeśli dzisiaj, jest im ciężko i źle, jeśli pogrążeni w przepaści, wydobyć się z niej nie mogą, jeśli zbudowawszy państwo olbrzymie, w którym nigdy nie zachodziło słońce, widzą je teraz zamknięte w granicach jednego skalistego półwyspu, sumienie ich mó-

wić im niezawodnie musi, co za przyczyna wywołała ten straszny skutek.

Tak jak mnie dusza moja mówi:

u podnóża łańcucha górzystego, co taką wspa-  
niałą panoramę tworzy dokoła tej Malagi...

nad brzegiem pięknego morza, co przynosi jej  
wiatry południa, przenikające jej atmosferę ciepłem  
Afryki...

pod cieniem starych maurytańskich murów, co  
niemym swym, ale jakże wymownym głosem, skarżą  
się na wielką niesprawiedliwość, i krzywdę wielką...

Wszechmocny Boże, czy tej ludzkości, ociekają-  
cej i dziś jeszcze niestety krwią, krzywda i niespra-  
wiedliwość, mają być i nadal, smutnym i przeklętym  
udziałem?!...

---

## VIII.

„Kto nie widział Sewilli, nie widział cudu”, powiada jedno przysłowie hiszpańskie, ale „kto nie widział Granady, nie widział” — odpowiada mu drugie.

Przychodzi mi na myśl to ostatnie przysłowie, kiedy po stosunkowo długiej podróży z Malagi, wysiadam z wagonu na stacji kolei w Granadzie, i w omnibusie, przypominającym nasze warszawskie „Kanarki”, krążące w epoce moich uniwersyteckich czasów, z placu Krasińskich na plac Ś-go Aleksandra, przebywam długą przestrzeń, oddzielającą dworzec od miasta.

Powtarzam je po polsku i po hiszpańsku, gdyż w tym języku, brzmi ono o wiele dźwięczniej niż w naszym. Posłuchajmy:

„Quien no a visto Granada,  
No a visto nada”.

Więc tamto miasto było „cudem”, to jest — „wszystkiem”.

Nie widzieć go, jest to nie widzieć nic. Czy tak?

Przekonamy się o tem, ale zanim się przekonamy, powiedzmy coś nie coś o przebytej świeżo drodze.

Nie jest długą linją powietrzna pomiędzy Malagą a Granadą, i w ciągu dwóch co najwięcej godzin, możnaby się przedostać koleją z jednego z tych miast do drugiego. Ale prowincya, w której właśnie goszczę, dla inżynierów nie jest podatnym gruntem. Nie poprowadzono więc toru kolejowego wprost, dla uniknięcia technicznych przeszkód, i wielkich kosztów, rozszerze-

piono go w dwóch miejscach, i zamiast jedną ścianą trójkątą, bieży on dwiema, przedłużając czas niezbędny na przebycie nie wielkiej przestrzeni.

Jedzie się zatem zrazu drogą do Madrytu, na stacji Bobadilla przesiada się do innego pociągu, i jest dobrze już po południu, kiedy konduktor melduje ochryłym głosem, że czas wysiadać, gdyż kres podróży nastąpił.

Więc się wysiada, wspominając to, co w ciągu kilku godzin uderzało wzrok.

Co uderzało?

Kraj wysokich gór, w całym znaczenia tego wyrazu.

Ciągną się one na prawo i na lewo, szerokiem pasmem zalegają wielkie przestrzenie, opasują całe wybrzeże morskie, wciskają się aż w środek Murcji.

Ale będąc wszędzie, nie sprowadzają bezpłodności na kraj. Tu i owdzie rozszczepiają się ich kamienne ściany, i ukazują się oczom nagle rozkoszna dolina, usiana zbożem, lub obsadzona krzakami winnej jagody.

Wśród nich biorą swe początki rzeki: Darro, Genil, Gwadalkwiwir, z ich podnóża wytryskują źródła mineralne, w ich wnętrzu znajdują się bogate żyły: marmuru, jaspisu i alabastru.

Ziemia zatem najpiękniejsza w całej Hiszpanji, najbardziej interesująca ze względu na swoją przeszłość, jest też i najbogatszą, najlepiej uprawną i najżyźniejszą.

Patrząc uważnie na nią, widzi się jasno, co może praca, wszystko bowiem, na co tu spoglądam, nosi na sobie wybitne jej ślady.

Ślady to przecież nie Hiszpanów. Korzystają oni z dorobku innych, dawnych władców tego uroczego kraju, Maurów, sami przecież nie wiele dla niego zrobili.

A Maurowie?

Przerznęli go gęsto kanałami, zabudowali miastami bogatymi, wzmogli w nim rękodzielnictwo i przemysł.

I usadowiwszy się tu, jak w naturalnej tortecy, stworzyli z Granady, gdy już reszta Hiszpanji była w ręku chrześcian, świat wystarczający sobie zupełnie, zaspakajający, dzięki ich zapobiegliwości, wszystkie potrzeby, liczniejszycy o wiele niż dziś mieszkańców, świat, którego bogactwo, było ich chlubą, przedmiotem zawiści ich sąsiadów.

I jeżeli i dziś jeszcze, pomimo wygnania ich do Afryki, i co za tem poszło, podkopania jego pomyślności, wyróżnia się on i od Kastylji, i od Aragonji, i od innych prowincyi hiszpańskich, ich to bezsprzeczna zasługa, oni bo dali mu tę wysoką kulturę, której zniszczyć dotąd nie zdołało, niedołęstwo obecnych kraju tego mieszkańców.

Więc pozostał on kwitnym, pomimo że ich tu już niema, wielkie dzieła ich przedsiębiorczości nie przestają oddawać usług tym, którzy do tej przedsiębiorczości ręki nie przyłożyli, i choć zredukowani w liczbie, żyją tu oni jak w raju, i patrząc na wspaniałe pomniki przyrody, w pomnikach pracy ludzkiej, znajdują dostatni byt.

Czy znajdując go, wspominają tych, którym go mają do zawdzięczenia, czy nie czują żalu do swoich przodków za to, że zaślepieni fanatyzmem dzikim, w tak okrutny sposób, wyrzucili ich trzy wieki temu za morze, sądząc w obłąkaniu, że Bogu hołd oddają, że gotują sobie promienną przyszłość?...

Zatem kraj, który przejechałem właśnie, jest piękny, żyzny, kulturalny.

Jakże inaczej przedstawia się dokoła Madrytu, Kastylja.

Przypominam to sobie właśnie, kiedy wysiadam z pociągu w Granadzie, obrazy jej pustkowia zestawiam z tymi, które olśniewały tu moje oczy, i powiadam w duchu, że ta cała Hiszpanja, byłaby, być może, czem innym niż jest dziś, gdyby jad religijnych przesładowań nie toczył przed wiekami synów jej serc, nie kazał im, nie już w wyznawcach innej wiary, ale w pochodzących jak wypędzeni Maurowie od tych wy-

znawców, widzieć wyrzutek, zasługujących na zagładę i śmierć.

Proszę przeczytać, co Buckl, w swojej „Historji Cywilizacji Anglii“ pisze o skutkach tych prześladowań, zestawić to z uwagami Windwooda Reade, w słynnym jego dziele: „Męczeństwo człowieka” (The martyrdom of man), a dostrzeże się ze smutkiem, gdzie tkwi źródło nędzy i upadku, nie już jednej tylko Hiszpanji, ale wszystkich krajów, które za jej oplakania godnym przykładem, na swoich sztandarach wypisały posępne hasła nietolerancji, i nieuszanowania wierzeń i przekonań innych.

A więc ta cała droga, prowadząca z Malagi do Granady, jest jednym wspaniałem pejzażem.

Granada jest pejzażu tego perłą.

Zbudowana na trzech pagórkach, u podnóża dwóch rzek, które jak śpiewa poeta hiszpański, żenią się u progów jej ulic i placów, niby po schodach pnie się ona w różnych punktach na wyżyny, i niby z pięter, oknami domów swoich, spogląda na snujących się u jej stóp.

Spogląda smutnie, jak strącona z tronu swego królowa, nie zapominając o tem czem była, bolejąc nad tem, czem dziś jest.

Bo z miasta o czterystu tysiącach niegdyś mieszkańców, zesła do liczącego nie całe sto tysięcy, bo z wielkiej i sławnej stolicy, przeobraziła się w gród czwartorzędny, bo nie ustępując w niczem Sewilli, a imponując dumnie Maladze, pozostała teraz daleko w tyle, i za Sewillą i za Malagą.

Obdarto ją zatem ze wszystkiego, z czego obdrzeć miasta, te twory ludzkie można, pozbawiono ją politycznego znaczenia, podciągnięto pod strychulec ustronnych grodów, zapadłej i zapomnianej prowincyi.

I utonęłyby w zapomnieniu, choć ma tak wielką przeszłość za sobą, i zapadając się w przepaść, pograżyłyby się w niej doszczętnie, gdyby nie to, co ręką ludzkim zatopić i w przepaści pograżyć się nie pozwala.

Gdyby nie jej przyroda i sztuka.



Ale te zginąć jej nie dały.

I wywyższyły ją po nad wszystkie miasta Hiszpanji, po nad wiele miast świata całego!

I choć biedna, choć opuszczona, niby magnes żelazo, ciągnie ona ku sobie żądnych prawdziwego piękna tłumy, i ciągnąc ich nie przestanie, dopóki ludzie, nie wyzbywszy się z aspiracji podniosłych, i nie pogrążywszy w zmaterjalizowania kałuży, pożądać będą skrzydeł do lotu, i balsamu dla dusz.

A ciągnąc ku sobie, w dniach smutku i zniechęcenia, unosić ich będzie na wyżyny, gdzie nie ma zwierzęcych walk i namiętności, gdzie człowiek dla człowieka nie jest wilkiem, gdzie na podniosłym tronie ideału, króluje niepodzielnie poezja, przyśpieszająca bicie, rwących się ku ideałowi, i pożądających ideału, serc.

---

## IX.

Najpiękniejszą i najcenniejszą z trzech gór, na których pobudowała się Granada, jest ta, którą ozdabia Alhambra.

Najpiękniejszą, dzięki swojemu stromemu położeniu, między korytami dwóch rzek, najcenniejszą, z powodu, że posiada na swoim szczycie skarby budownictwa, do których tak się ma Alkazar Sewilski, jak uczeń do nauczyciela.

Więc kto chce przekonać się o tem, czem jest Granada, kto chce należycie ocenić, i poezję jej przyrody i czar niezrównany jej sztuki, nie po krętych i opuszczonych ulicach jej krążyć powinien, ale, rzuciwszy miastu kilka obojętnych spojrzeń, piąć się na wyżyny, które dla Hiszpanji przedstawiają bez mała tę architektoniczną (nie historyczną naturalnie) wartość, co Akropol dla Grecji.

Tylko, że Akropol, acz wzniesiony po nad poziom, nie daje oku tych wspaniałych obrazów przyrody, jakimi darzy je szczodrze góra Alhambry, tylko, że gdy się u stóp jego pogańskich świątyń stanie, nie ma się tego widoku przed sobą, jaki roztacza się z okien komnat, gdzie w przepychu i zbytkach, królowali niegdyś mahometańscy zdobywcy Hiszpanji.

Więc świadom tego, pnę się już rankiem, następnego zaraz dnia po przebyciu do Granady, na szczyt tej góry.

Pnę się w powozie, droga bowiem prowadząca ku niej, jest stroma i mozolna.



Mieszkania cyganów w Granadzie.



Wychodzi ona z plaza Nueva, nosi nazwę Calle de Gamares, ale ani na tym placu, ani na tej ulicy, nie zwraca na siebie mojej uwagi.

Kiedyś, być może było i tu inaczej niż dziś, ale nad tem miastem przeszły huragany i burze, szaleli dokoła niego i w niem ludzie, opętani wściekłością religijnego fanatyzmu i bezgranicznej pychy i chciwości, szlachetnie przykładali w kolei długich wieków ręce do tego, by napiętrzyć na swojej drodze jak najwięcej ruin, wycisnąć z oczów powalonych o ziemię, jak najwięcej łez — ubóstwo zatem porozsiewali dokoła miejsc, gdzie dawniej był dostatek. Nie na nim więc spoczywa moje oko, gdy przebywam przestrzeń dzielącą mnie od tej góry, nie o cywilizacyjnym ich wpływie myślę, gdy woźnica zatrzymuje konie, na znak, że dowiózł mnie już do celu.

Do celu, który nie byłby dla nikogo z goszczących w Granadzie celem, gdyby się był udał potworny zamiar francuzów, gdy tu po trupach obrońców niepodległości Hiszpanji, za Napoleona I-ego przyszli.

Ale się nie udał.

Żołnierz hiszpański, przeciął lont podłożony przez nich pod Alhambrę, człowiek-zwierzę, ma swojej dzikości na ziemi o jeden pomnik mniej — a ja, je-deu powód więcej, do ubolewania nad barbarzyńskimi jego zamiarami, gdy ujmie go w piekielne swoje objęcia potwór-wojna, gdy chęć niszczenia, demoniczne swoje skrzydła, rozpostrze, nad skamieniałem w niej i przez nią, jego sercem.

Alkazar sewilski jest fortecą i pałacem, Alhambra miastem.

Z wieżami obronnemi, murami zaopatrzonymi w otwory dla rusznic, meczetem i mieszkalnymi domami.

Tam rezydowali niegdyś kalifowie, ze swojemi odaliskami i świtą, tu mieścił się cały mahometański tych stron, świat.

Rozpostarł się na szerokiej podstawie, zabezpieczył przed niespodziankami z zewnątrz, odgrodził od gjaurów, przysiadłych do koryt dwóch okalających go rzek, i dumnie z tego orlego gniazda spoglądał na

Hiszpanję, pewny, że choć wtłoczony przez wojowniczych jej synów w te strome góry, dozna jeszcze wielkiej łaski Ałłaha, i doczeka radosnego tryumfu półksiężyca nad krzyżem.

Nie doczekał się, uległ w bohaterskiej z czcicielami Chrystusa walce, party na południe, wyparty w końcu z tych miejsc został, ale na tej tu górze żyje dotąd, pomimo zmiennych kolei losu, wojen niepowodzenia i wrogów swoich nieubłaganą i niechrześcijańską wcale mściwość.

I w Sewilli żyje on również, ale żyje tam półżyciem tylko, i jej Alkazar jest kultury jego dowodem. ale kultury przekształconej przez świat inny,—tu uchował się on w pierwotnym swoim blasku, w niezmiennym niemal kształcie, w pełni swoich zalet i wad.

I dla tego, kto chce doznać złudzenia tego świata, tam kierować kroki swoje powinien, kto chce go poznać gruntownie, tu,—w Alhambrze bowiem, zdolawszy się uchronić od wpływów obcych, skamieniał on, że się tak wyrażę, odtrąciwszy precz od siebie te wpływy.

Ze świadomością więc tego, przekraczam Porta de las Granadas, i środkiem parku, cienistego i wilgotnego, dochodzę do Bramy Sprawiedliwości. Ciemnej i posępnej bramy, w murze wielkim i brzydkim, nie dla oka, lecz dla granatów i kul, wyciągniętym tu łańcuchem się linją.

Ozdobiona łukiem maurytańskim, okolona napisami, sławiącemi wielkość Ałłaha, wprowadza ona do przybytku potęgi i rozkoszy, ale nim wprowadzi, ukazuje moc i zuchwalstwo Islamu.

W symbolicznych płaskorzeźbach na ścianie, zachowanych dotąd od zniszczenia.

Bo widzę nad nią klucz i rękę, bo wiem jakie jest ich znaczenie. Znaczenie sławiące imię proroka, słabość krzyża.

„Kiedy ta ręka ujmie ten żelazny klucz, wtedy dopiero skończy się panowanie Arabów w Hiszpanji“,—mieli powiedzieć dumnie ci, którzy front bramy ozdabiali tym symbolem, pewni, że ponieważ to nigdy nie

nastąpi, i panowanie ich w tym kraju, nie skończy się nigdy.

Złe powiedzieli, ręka jak dawniej tak dziś nie przybliżyła się do klucza, a oni, jak wszyscy obłąkani powodzeniem, starci zostali przez dawnych swoich niewolników, na proch.

Zaledwie przejdzie się tę bramę, zanim jeszcze ukazą się wspaniałe ich gmachy, ma się tego widoczną pamiątkę.

W niedokończonym pałacu Karola V-go.

Przybył tu ten władca, kiedy Hiszpanja stała się już jedną i niepodzielną, i ujrawszy cuda architektury maurów, pragnął je zaćmić.

Nie zaćmił, ale zniszczył wiele z tego co dźwignęli tu oni w murze, symbolowi ich zarozumiałości, przeciwstawiwszy oznakę swojej wszechwładzy i potęgi.

I stoi tu ona, jakgdyby na urągowisko temu symbolowi i zasłaniając swoim szerokim cielskiem część ich pałaców, zanim się wstąpi w zaczarowane ich progi, ściąga ku sobie przybysza wzrok.

Nie na długo jednak, bo wyrывa się on z jego zimnych objęć, i nie sobie nie robiąc z materjalnej mocy, biegnie z szybkością strzały ku oceanowi piękności, którego niemoc cezara tego w sferze sztuki, jest nieocenioną pamiątką.

„Z trzech wielkich epok, nie dającej się zaprzeczyć wspaniałości, jaką roztoczyła w Hiszpanji sztuka arabska, najświetniejszą, najczystsza i najpłodniejszą niezawodnie, jest ta, której zadziwiającym okazem, jest Alhambra Granady; ani cywilizacja afrykańska w Egipcie, Persji, Turcji, i samej Afryce, nie osiągnęła nigdzie jej subtelności i piękności, ani też na żadnym pomniku Hiszpanji, chwala zwycięstwa nie usymbolizowała się w sposób równie doskonały i skończony, jak na tym ostatnim szanecie, tak uparcie bronionym, i zdobytym z takim bohaterstwem”.

Tak powiada uczony akademik Rafael Contreras, którego długoletniej konserwatorskiej pracy, Alhambra ma wiele do zawdzięczenia.

I powiada słusznie, jest ona bowiem nieśmiertelnym pomnikiem artystycznego gienjuszu, i wykwintnego smaku Maurów hiszpańskich.

I zadziwiającej doprawdy wiary, w trwałość ich panowania w tym kraju.

Bo pomyślmy chwilę.

Kiedy ją budowano, Hiszpanja już niemal cała, oswobodziła się od władzy czcicieli półksiężyca, pozbyła się ich z półwyspu.

Po krwawych walkach, odebrała im Kordowę i Sewillę, wepchnęła w góry przylegające do morza Śródziemnego, zamknęła na ciasnem terytorjum, w ustronnym południowym kącie.

Zdawałoby się więc, że w warunkach takich, gdy nie już rozkwit, ale byt ich państwa został zagrożony, cała ich działalność, jak naszej Wielkopolski, którą barbarzyński Prusak postanowił w szalonej pysze ze świata zgładzić, skieruje się ku utrzymaniu bytu, że jak dziś w tej bohatercko broniącej się prowincji, energia pragnącego odeprzeć brutalne ciosy dzikiego wroga, i wśród nich pójdzie po drodze, prowadzącej wprost do utrzymania życia, z pominięciem wszystkiego, co życie narodu, niby kwiat łąkę, złoci i opromienia.

A tymczasem...

Właśnie w roku upadku Sewilli, kładą oni kamień węgielny pod pałace Alhambry, właśnie wtedy gdy im się ziemia zaczęła ostatecznie z pod nóg usuwać, planują i wykonywają ozdoby sal, budzące dziś podziw całego świata.

Wieki XIV i XV, to wieki wzmożonej wiary Hiszpanów, to ostateczny tryumf nad mahometanami.

Otóż one właśnie, wyciskają na Alhambrze najszlachetniejsze i najartystyczniejsze piętno.

Pioruny biją, burza nienawiści ku wrogom Krzyża w Hiszpanji, dokoła z wściekłością szaleje, na nich to jednak nie wpływa wcale.



Z olbrzymiego lasu, w którym pobudowali ty-  
siące gniazd swoich, pozostał im tylko wąły zagaj-  
nik, i ten im przecież odebrać pragną.

Ale to ich bynajmniej nie przeraża.

Żyją w nim i pracują, jak gdyby i cały las do-  
koła należał do nich.

I mając na pamięci słowa Koranu: (rozdział III,  
wiersz 25)

„Boże, królu najwyższy, ty odbierasz i dajesz  
korony podług swej woli, podnosisz i ponizasz rzeczy  
ludzkie, jak się tobie podoba, dostatki są w twoim  
ręku, bo ty jesteś wszechmocny”, — mając, powtarzam,  
na pamięci, te słowa, nie upadają bynajmniej na du-  
chu, ale zabezpieczając to co im pozostało przed za-  
boreczością wrogów, nie zaniedbują ani na jedną chwilę  
tego, co im się stać może nie tylko pożytecznem, lecz  
i przyjemnem.

I wychodzi z pod ich rąk twórczych, szereg cza-  
rodziejskich budowli, powstają w Alhambrze prześlicz-  
ne: Patio Lwów, Sala Abenseragów i Sprawiedliwości,  
meczet i wieża Infantek, sztuka świata dostaje w da-  
rze arcytwór niezrównany, będący szyderstwem ze  
zdania łaćńskiego, że „w czasie wojny muzy milkną”.

Szyderstwem, — bo przez siedm przeszło wieków  
łała się przez nich i wśród nich w Hiszpanji krew, bo  
między ujarzmicielami i ujarzmionymi, zawieszenia  
broni nie było tam prawie nigdy, bo kwestja „mego  
i twego“ życia i śmierci, zaprzętała bezustannie w tym  
kraju wszystkich Arabów umysły.

I cóż?

Właśnie w tym czasie, dochodzi on do najwyż-  
szego rozkwitu, ozdabia się najwspanialszemi budowla-  
mi, gromadzi w murach miast swoich olbrzymie zbiory  
ksiąg, właśnie w tym czasie wznosi się meczet w Kor-  
dowie, powstaje sewilski Alkazar, Alhambra w Grana-  
dzie rozściera dokoła swój niezrównany blask.

A gdy słońce ich pokrywa się chmurami i za-  
chodzi, gdy na zegarze dziejowym ostatnia godzina  
ich panowania wybija, gdy pokój cmentarny rozpo-

ściera swoje skrzydła, nad rasowo już jednolitą i jednowyznaniową Hiszpanją, co następuje?

Nie myślmj o tem, bo przed oczami ducha naszego rozpostrą się gęste mroki, smutny owoc religijnej nietolerancji, i tej bezgranicznej pychy, która zawsze postępuje przed upadkiem.

Zaiste, patrząc na to, co ci Arabowie w Alhambrze i dokoła tej Alhambry zdziałali, i na to co nastąpiło, gdy ich w Hiszpanji nie stało, nie ubolewa się nad tem, że panowanie ich tu się skończyło, boć byli oni jej najeźdźcami, wrogami jej niepodległości, ale, że zwycięzcy pokonawszy swoich nieprzyjaciół, nie potrafili uszanować ich twórczego gienjuszu, i depcząc ich samych brutalną nogą, jednocześnie unieścwiiali ziarna kultury wielkiej, która gdyby była wsiąkla w organizm tego kraju, niezawodnie uczyniłaby z niego, jeden z największych i najpomysłniejszych krajów świata.

Ale nie wsiąkla, zmieciono ją niby brudny pył z powierzchni ziemi, jak od zapowietrzonej odżegnano się od niej w świątobliwym oburzeniu, i zmarniała tu ona niemal doszczętnie, świadcząc tylko takimi pamiątkami jak tą Alhambrą, o cywilizacji, która zajaśniała jak słońce nad krajem, jak słońce oświeciła blaskiem swoim złotym dokoła, i zaszła, tem tylko różniąc się od słońca, że ono wszędzie po chwilowym spoczynku znowu, a ją ujął już na zawsze w lodowe swoje objęcia, anioł śmierci.

Placz Hiszpanjo, że zjednoczywszy siłą oręża swego kraj, wyrwawszy z rąk cudzoziemców ostatni jego skrawek nadmorski, nie poprzestałaś na tym tryumfie, ale niepohamowana w mściwości, oślepią dzikim fanatyzmem, wyrzuciłaś precz do Afryki potomków dawnych twych panów, mimo, że oni dla ciebie wyrzekli się swych starych bogów, mimo, że będąc dziećmi niezrównanej kultury, kulturę wielką rozpostrzeć jeszcze nad tobą mogli, płodami swojego ducha, wzmacniając schnącego twojego drzewa zmurszały pień.

Placz—i ubolewając nad sprawcami swych nieszczęść, drogi twojego przyszłego dziejowego pochodu, opromieniaj tolerancją i światłem, dwiema siostrzycami anielskimi, pod których opiekuńczem skrzydłem unosi się zawsze i wszędzie ku górze to, co tobie, nieszczęsna, a przez ciebie ludzkości całej, promienniejszą zgotować może przyszłość.

\* \* \*

Gautier powiada, że „budownictwo maurytańskie w Hiszpanji, nie wyraża potęgi, sławy, wielkości, ale jest raczej objawem miłości i rozkoszy“.

Nie słuszniejszego nad to zdanie.

Stwierdziliśmy już prawdę jego w Alkazarze w Sewilli, tu w tej Alhambrze, stwierdzamy ją na nowo.

Bo cóż ukazuje się oczom naszym?

Na szerokiej przestrzeni dość stromej góry, szereg gmachów nie powiązanych z sobą organicznie.

Gmachów i wież.

Wszystkie z zewnątrz przedstawiają się oku popolicie. Powiem nawet szpetnie.

Pospolitość ta i szpetność rozmyślna, bowiem twórcy tej architektury, o zewnętrzny ich wygląd nie dbali.

I nietylko ich.

Wszystkiego, co wyszło kiedykolwiek z pod ich ręki.

Więc wszystko to, czy się nazywa Alkazarem sewilskim, czy Alhambrą granadzką, wygląda z zewnątrz poważnie, ale chłodno, wszystko nie przyciąga, lecz odpycha ciekawych, gdyby im ochota kiedy przyszła zajrzeć do wnętrza.

I zdaje się do nich mówić:

Odejdźcie stąd, bo tu nie dla was nie ma, pozostawcie nas, z naszymi domami w spokoju, my tu bez was żyć samotnie chcemy, wśród naszych kobiet, dzieci, dymu naszych nargilów, wśród marzeń, do których nas kołyszą ciepło i słodycz poezji, jaką rozpostarliśmy dookoła siebie, zdala od waszego oka, w kamieniu.

I nieświadomy tajemnic tej dziwnej architektury, zrażony jej zewnętrznym chłodem, odchodzi, ale gdy przypadkiem zajrzy do wnętrza tego, co mu się tak sztywno i bezdusznie prezentowało, doznaje odurzenia i zachwytu, jakimi go nie darzy, żadna architektura całego świata.

Bo żadna, nie zapożyczyła tyle z fantazji, nie wzięła tyle z bajki, nie wniknęła tak głęboko w świat czarów.

Kto nie wie o tem, jak surowo Mahomet, zabronił wyznawcom swojej religji, odtwarzać w rysunku istoty żyjące?

„O wierni — woła on do nich, — wino, gry hazardowne i bałwany, są to potworności wymyślane przez szatana; wystrzegajcie się ich“.

„Nieszczęsny ten — przypomina im powtórnie, — kto narysuje żyjącą istotę. Kiedy nastąpi dzień sądu bożego, każda z nich powstanie ze swojego obrazu, i zażąda od niego duszy. Wtedy on, nie mogąc jej tego dać, czego pragnie, pójdzie na pastwę wiecznych płomieni“.

„Strzeżcie się malować Boga lub człowieka—oto co czytamy w jego Koranie,—przedstawiajcie jedynie, drzewa, kwiaty i przedmioty nieżyjące“.

Wiadomo, czym jest Koran dla Arabów.

Wszystkiem, Ewangelją i kodeksem, katechizmem i poradnikiem w potrzebach życia.

Słucha go z nich każdy ślepo, bez krytyki i szemrania.

I idzie za jego przepisem.

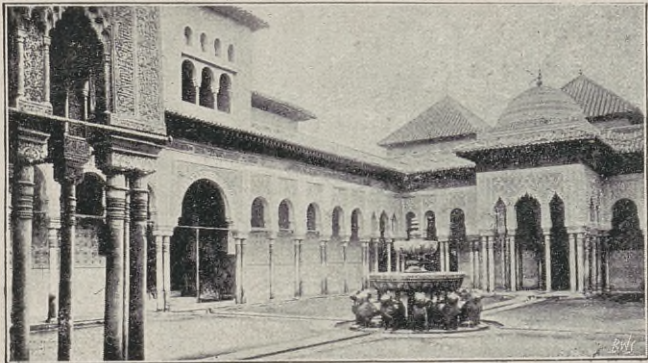
Stwarzając więc, po wyjściu ze stanu koczowniczego, sztukę, mogliż oni nie mieć go na pamięci?

Więc odrzekli się, w działach twórczości swojej, od tego co żyje, zamknęli się w świecie form i linii.

Świecie kwiatów, arabesk, gwiazd i łuków.

Świat to ograniczony, bo bezduszny, zimny bo martwy, sztywny, bo nieruchomy.

Potrzeba go więc było rozszerzyć, ogrzać, poruszyć.



Patio Lwów.



Lud z mniejszą od arabów fantazją, nie potrafiłby tego uczynić, ale arab to urodzony marzyciel.

Więc puścił wodze fantazji swojej, zaczął tworzyć obrazy dziwaczne i nieznane, ale bez znaczenia i duszy.

Mimo to przecież piękne, bo powiązał je z sobą, ubarwił kolorami tęczy, uwypuklił optycznie na ścianie, niby płaskorzeźbę, do której czuł wewnętrzny wstępl.

Gdyby to wszystko porozsiewał na olbrzymiej przestrzeni, być bardzo może, że nie robiłoby to, jako drobne, wrażenia, będąc artystą przecież w każdym niemal calu, czuł on dobrze, co dla wywoływania efektu czynić powinien.

Zamknął się zatem w ciasnem kole, niby w szczupłym namiocie na pustyni, i zbliżywszy jedną ścianę swoich gniazd mieszkalnych do drugiej, ozdabiał je poematami.

Ale geometryczne linje, nie zadawały go w zupełności. Dla zmysłów swoich, miał w nich pokarm, dla ducha, — nie.

Więc wcisnął pomiędzy jedne i drugie sentencje z Koranu, sławiące moc Boga, mądrość Islamu, i odgrodzony od świata, jak mucha w bursztynie, utonął w tym świecie.

Sentencje te, mam więc tu w Albamrze wszędzie, na każdym kroku witają mnie one, stwierdzając głęboką uwagę Libonisa, że „sztuka arabska jest więcej sztuką wiary, niż rasy i ludu“.

Przetłumaczmy na tem miejscu niektóre z nich:

„Nadzieje moje pokładam w Bogu, wystrzegam się szatana, który został ukamienowanym“.

„Błogosławieństwo Boskie niechaj spocznie, na naszym panu i mistrzu Mahomecie, na jego rodzinie i towarzyszach“.

„Bóg jest jedyny, wieczny, nieśmiertelny, i nie ma podobnego sobie nigdzie“.

Sentencje te, i im podobne, wplatają się w arabski, ponad charakterystycznymi łukami, łączącymi z sobą kolumny, a przez anglików ochrzczoneymi naz-

wą „podków końskich”, (horse shoe arcs) przeskakują z jednej ściany na drugą, i dzięki kształtowi arabskich liter, zlewają się z ornamentacjami, wplatając się w nie tak kunsztownie i harmonijnie, iż na pierwszy rzut oka, zdają się być niczem więcej, jak ich składową częścią.

A przecież są czem innym.

W świecie martwoty, uosabiają życie, w chaosie porządek, w materji duszę.

I zasklepienemu w domowym zaciszu swoim, wśród ozdób radujących wzrok dokoła, i odalisek pieszczących jego zmysły, nie pozwalają one arabowi zapomnieć o obowiązku, wyrzec się wiary, pogрузić w kulcie powabów i słodczyzi ziemi.

To też wśród tych czarów dokoła, niezapomina on ani na chwilę o nim, nie wyrzeka się jej, pomny słów Koranu, zamkniętych jak gdyby umyślnie przez Proroka, w rozdziale mającym za przedmiot kobietę, by mu oplecionemu jej białemi ramionami, kazały mieć ciągle na pamięci, że kobieta jest osłodą życia mężczyzny, ale nie powinna być jego celem.

Oto te słowa:

„Mąż, który się wyrzeczce ojczyzny, dla obrony świętej religii, znajdzie obfitość i wielką liczbę towarzyszków. Wierny, który opuści rodzinę i pójdzie pod chorągwie Boga, jego apostoła, i umrze, odbierze nagrodę z rąk Pana miłosiernego i łaskawego“.

Kto odczytując napisy na ścianach komnat arabskich, przywodzące mu wciąż na pamięć, czem jest i czem być powinien, a wyrażające podobne myśli, nie przejmie się podziwem dla tego ludu, który wyszedł z pustyni, ogrzany ziarnami przystosowanej do jego natury i potrzeb wiary, rozlał się, niby olbrzymia rzeka po świecie, zagarnął wielką część Azji, całą północ Afryki, podniósł je i ucywilizował, i gdyby nie męztwo Hiszpanów, kto wie czy dziś w Europie, nie dyktowałyby ludom chrześcijańskim, praw?

Labiryntem prawdziwym jest Alhambra.

Labiryntem korytarzy, sal, przedsionków, alkow, galerji, miejsce kąpielowych.



Z wyjątkiem sali położonej wprost pałacu Karola V-ego i Sali Lwów, wszystko, co się tu widzi, jest drobne. I komnaty, i przejścia, wiodące do tych komnat.

Na pustyni, arab gnieździł się w ciasnym namiocie, przywykł do szczupłej przestrzeni, gdy więc życie koczownicze zamienił na osiadłe, o namiocie zapomniać nie chciał.

Zwłaszcza, że obszary nie nadawały się dla jego architektury, miękkiej, wypieszczonej, że się tak wyrażę — kobiecej.

Mamy więc w tej Albambrze szereg ugrupowanych przy sobie namiotów mieszkalnych, tylko ozdobionych w swem wnętrzu tak, jak namioty ozdobione nie były.

Widzieliśmy już te ozdoby, w Alkazarze w Sewilli, na wieży Giraldy, w Pałacu Piłata, — tu mamy je, w ilości większej, w doskonalszej postaci.

Bo sal tu więcej, bo pracowały nad niemi zręczniejsze o wiele ręce, bo gdy tam chrześcijańscy następcy maurów naśladowali je, wplatając w takowe ozdobnictwo architektur innych, tu sami maurowie snuli z głębi swojego artystycznego ducha, wspaniałe oryginały, których naśladować nie może dotąd świat.

I wysnuli arcydzieła smaku, które światu imponują i budzą podziw świata.

Bo weźmy naprzykład salę Lwów i komnatę Sprawiedliwości.

Cóż to za cuda fantastycznego budownictwa!

Z tem co się w Sewilli widziało, porównać ich nawet niepodobna.

Przechodzą one wszystko, co tam jest, wyróżniają się od wszystkiego.

Nie bogactwem dekoracji, ale dziwną jakąś powagą, majestatem nie z tego zaiste świata.

Nie równej wielkości, przytykają one do siebie, nie zlewają się przeciw z sobą.

Bo pierwsza z nich, to budząca zachwyt halla rycerska, druga, coś w rodzaju wprowadzającej w osłupienie, stalaktytowej groty.

Wstępujemy w progi pierwszej, i cóż uderza nasze oczy? Naturalnie, że lwy, okalające fontannę.

Dały one nazwę tej sali, są magnezem ściągającym ku niej z całego świata tłumy.

Choć takie niezdarne, choć tak nie wiele przypominające zbliżka lwów.

Ale przysiadłe do tej fontanny, podtrzymujące jej basen środkowy, wychodzące rzędem, z pod niego, jak z pod nakrycia jakiejś tajemniczej skały, okolone lasem większych i mniejszych kolumn, sprawiają one efekt taki, że kto na nie patrzy, oprzeć się potężnemu wrażeniu nie jest w stanie.

Zwłaszcza, że wzmaga je to, co się dokoła nich widzi. Pomijam ozdoby ścian, arabeski, mozaiki, pełne fantazji liście, i geometryczne linje. Przywykło już do nich moje oko, miało je poddostatkiem w stolicy Andaluzji. Nie miało jednak tego, co tu jest.

Perspektywy powietrznej, czarodziejskiego tła, na którym wszystko rysuje się plastycznie i wdzięcznie.

To też kiedy stoję z boku, i mam przed oczyma obie te sale, zapominam o rzeczywistości, stwierdzam słowa Gautiera, że ta architektura jaką maurowie stworzyli, jest architekturą marzeń: „miłości i rozkoszy“.

I wyobrażam sobie, jak tu musiało być, gdy po tych salach, snuli się, nie w prozaicznych strojach dzisiejsi ludzie, opięci i w szarzyźnie ubrań swoich podciągnięci pod strychulec jeden, ale synowie malowniczych, beduinów, dzieci spieczonej piaszczystej pustyni, w zawojach i burnusach różnokolorowych i fantazyjnych, gdy na dywanach pokrywających podłogę, uroczę córy Andaluzji, dla rozerwania panów swoich, wykonywały pląsy wdzięczne, podczas gdy słodkie tony muzyki, łączyły się ze szmerem wodotrysków.

Ta sala Sprawiedliwości, właściwie nosić powinna nazwę: Sali grot.

W przeciwstawieniu do sali Lwów, szerokiej i powietrznej, jest ona nie wysoka ale długa.

Jak tam, sklepienia jej nie unoszą powiewne marmurowe kolumny, jak tam, światło nie wciska się do jej wnętrza z góry, zalewając wszystko do koła, —

przed zdumionym wzrokiem ukazuje się szereg stalaktytowych jaskiń, ciągnących się długą linią, bez końca.

Jaskinie te, ozdobione tak, jak tu wszystko jest ozdobione, mieniające się jaskrawymi barwami, jakimi tu się wszystko mieni, wychodzą, niby czary jakieś jedne z drugich, łączą się z sobą, tworząc coś w rodzaju przewróconej na ziemię piramidy, o wierzchołku wzorzystym, tonącym gdzieś w mgle nieskończoności.

Co za dziwaczny pomysł porodził ją w głowie jej twórców, co za bajecznie bogata fantazja, stała u jej kolebki, co za miękkie kobiece palce, pracowały nad jej dekoracją! Patrząc na nią, zdaje się, że nie ludzie, lecz jakieś duchy nie z tego świata umyśliły jej plan, i że ludziom po to tylko pozwoliły go wykonać, aby schodzili się tu oni bez końca ze wszystkich krańców ziemi, wielbiąc ducha czarodziejskiego budownictwa, które z ziemią, jak bajka z rzeczywistością, punktów stycznych nie ma.

Doprawdy, patrząc na to co tu w tej sali jest, i na to co ci dziwni maurowie porozsiewali hojnie w tej Alhambrze w salach innych, powiada się sobie w duchu, że miał słusność ten malarz, który uplastyczniając fantazję, do ramion uosabiającej ją kobiety, przyczepił olbrzymie skrzydła, unosząc się bowiem nad ziemią, nie dotyka ona ziemi, ale przebiega ją z szybkością iskry, przeciwstawiając jej zmysłowemu życiu, życie własne, nie wiele z niem mające wspólnego..

Bo nietylko te dwie sale: Lwów i Sprawiedliwości, są tego oczywistym dowodem.

Każda z nich, to marzenie, baśń uroczą Szeherazady o rozkoszy i miłości, kołysząca do snu, sprowadzająca przed oczy widziadła czarodziejskie.

Zaledwie rozstaniesz się z temi grotami dziwacznyemi, i tym lasem wiotkich i estetycznych kolumn, okalających wodotrysk ze lwami, wprowadzają cię do sali Abenseragów.

Sali niewielkiej, budowlanego pieścidelka, okolonego łukami, wspartymi na słupach tak wiotkich i drobnych, że czekasz tylko, rychło-li zgniecie je na-

cisk murów opierających się na nich, niby na podstawie z granitu.

I tu arabeski różnokolorowe na prawo i na lewo, i tu bogactwo bajeczne ozdób przeróżnych, i tu nieodłączny od każdego mieszkania arabskiego wodotrysk na środku sali, odświeżający powietrze i szmerzący słodko po kamieniach.

Sala piękna, jedna z najpiękniejszych, wedle tradycji, była świadkiem w dniach upadku Granady, krwawej zemsty, znieważonego na honorze swoim męża.

Ostatni władca mahometański tego kraju Boabdil, miał żonę piękną jak bóstwo, którą miłował jak się tylko bóstwo miłuje.

Za miłość jego, nie odpłacała mu ona przecież wzajemnością.

Tuż przy tej Alhambrze, piętrzą się na górze ogrody Generalify, w cieniu drzew których, urządziła występne schadzki z Hametem, z rodziny Abense-  
ragów.

Wyśledził te schadzki Boabdil, zwabił Hameta do tej sali, i tu krwią jego i jemu blizkich, zmył śmiertelną obrazę.

A ona?

Tradycja mileży o tem, co się z nią nieszczęsną i lekkomyślną stało, ale doznała ona zapewne losu wszystkich niewiernych żon, odtrąconą została od serca swojego męża i pana, ze wzgardą.

Odtąd sala ta, nosi nazwę ofiar jego — i pod tą nazwą roztacza piękno, któremu piękno sal Lwów i Sprawiedliwości, bynajmniej nie ustępuje.

Nad miarę wszelką rozszerzyłbym ramy tych moich wspomnień, z pobytu w ziemi maurów hiszpańskich, gdybym z obrazem w duszy wszystkich komnat tej Alhambry granadzkiej, chciał odtwarzać każdy z tych obrazów, wyczerpałbym cały słownik zachwy-  
tów i pochwał, gdybym nie cofając się przed tym zamiarem, zapragnął oddać każdej z nich, co się jej bezsprzecznie należy.

Więc poprzestaję na tem, com powiedział, nie zatrzymuję się dłużej, ani w Sali Ambasadorów, ani

Infantek, mimo że w pierwszej z nich, mam nad drzwiami łuk tak szeroki i śmiały, z jakimi rzadko w budowlach maurytańskich spotykało się moje oko, a w drugiej, motywy ozdobnicze nowe i przepiękne, wyróżniające się gustem, od tych jakie gdzieindziej podziw mój budziły, przechodzę w milezeniu przez meczet i wieżę „de la Cautiva”, istny perski dywan, olśniewający wzrok bogactwem kolorów na swoich ścianach, i grymasem linii, łamiących się w niemożliwy sposób.

Po cudach sztuki, spieszo mi do cudów przyrody, jakie roztaczają się tu dokoła, a które tę górę Alhambry, przemieniają w jeden z najcudniejszych zakątków świata.

I wsparty na oknie buduaru królowej, — patrzę.

Patrzę z tym zachwytem, z jakim Mirza z sonetów krymskich Mickiewicza, spoglądał na Czatyrdah.

I z niemniejszym od tego Mirzy zachwytem, powtarzam w duchu wiersz wieszczą niezrównany, w jednym wykrzykniku, zamykający podziw, jaki owłada w tej chwili mojem jestestwem.

„Tam? Byłem; zima siedzi, tam dzioby potoków  
I gardła rzek, widziałem, pijące z jej gniazda;  
Tchnąłem, z ust mych śnieg leciał; pomykałem kroków  
Gdzie orły chmur nie widzą, kończy się chmur jazda.  
Minałem grom drzemiący w kolebce z obłoków,  
Aż tam, gdzie nad mój turban, była tylko gwiazda,  
To Czatyrdah!

Aa!!“

Taki wykrzyk wrywa się z piersi mojej, gdy wychylam głowę, po za galerję ganku tego buduaru królowej, i spoglądam w dal.

Mam bo przed sobą panoramę niezwykłą.

Uniesiony na wysokiej górze, widzę góry dokoła. Szerokim garbem zalegają one dalekie przestrzenie, ciągną się na prawo i na lewo, błyszczą płatami śniegu, pokrywającego je w szczelinach i na szczytach.

Blżej od gór tych, odcina się mojemu oku stromy pagórek.

Panuje nad Alhambra, zdaje się być jej uzupełnieniem, niby częścią większej całości, od której odewał ją kataklizm podziemny.

Wierzch pagórka tego ozdobi gmach, widzę ogrody okalające go z trzech stron.

To Generalifa, miejsce wypoczynku letniego dla kalifów Granady.

Gdy nastaly skwary sierpniowe, i pobyt w pałacach, w jakich się znajduję, połączony był z niedogodnościami, przenosili się oni do jej gmachu, i tam w otoczeniu swoich kobiet i dzieci, wyczekiwali nadejścia chłodniejszej pory.

Zwiedziłem tę Generalifę, podziwiałem jej wspaniałe ogrody, orzeźwiane wytryskującymi w nich z kilkunastu miejsc jak w ogrodach Alkazaru sewilskiego fontannami, stałem pod cyprysem, w którego cieniu, żona Boabdila urzędowała występne schadzki z Hame-tem, zamordowanym następnie w sali Abenseragów, mam więc w pamięci jej uroki i czary.

Widziana z okna buduaru królowej w Alhambrze, Generalifa przedstawia się, niby głowa cukru, i piramidalnie unosząc się do góry, wśród tych piramid górskich dokoła, stanowi wdzięczny nad wyraz i opis, skalisty ułamek.

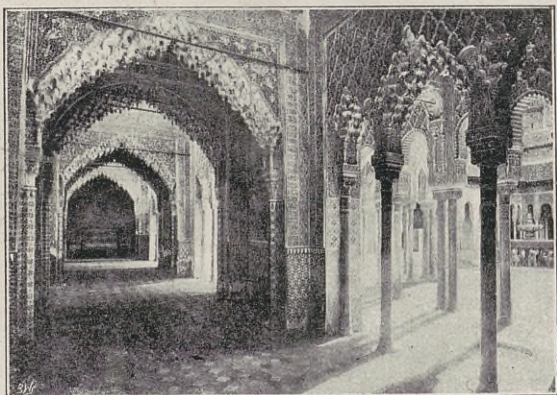
Oko więc moje zatrzymuje się w tej chwili na niej, wspina się coraz wyżej, w zachwycie nad pięknosciami kraju, który roztacza w tem miejscu wszystkie swoje uroki, wreszcie zstępuje na dół.

I w dole, niby w kotlinie głębokiej, ukazuje mi się miasto.

Z wieżami kościelnymi, białymi domami, pagórkami, po których pnie się, jakgdyby w tęsknocie za słońcem.

Choć dziś niewielkie i skupione w sobie, przedstawia mi się ono ztąd okazale.

Niby dawne maurytańskie, tylko bez maurytańskich mieszkańców.



Sala Sprawiedliwości.





Tuż u stóp góry, na której zadumany stoję, wije mi się romantyczne koryto Darro, widzę skały, we wnętrzu których, miejscowi cyganie mieszkają dumni jak Arabowie niegdyś, w tych wspaniałych, dziś tak cichych pałacach.

Olśniony panoramą cudną, wehłaniam w duszę jej niezwykle uroki, wędruję wzrokiem, od tych gór ku tym nizinom, zatrzymuję go, to na ubielonych śniegiem dalekich szczytach, to na wieżycy katedry, gdzie spoczywa Izabela katolicka, która ten kraj wyrwała z rąk niewiernych.

Wreszcie nie widzę nic.

Obrazy zlewają mi się w jedno, jakieś bielmo pokrywa moją źrenicę, mam przed sobą nie góry, nie miasto, nie kościoły, nie letnią rezydencję arabów, ale jakąś szarą przestrzeń, głęboką, zamgloną, bezbrzeżną...

I rozumiem co to jest, wzrok przeładowany pięknem, jakim go pasłem zbyt długo, nie wytrzymał, olśnił się nadmiarem uderzającego go światła, chwilo-wo, niby wpatrzony w rozpaloną tarczę słoneczną, zgaskł.

I sparaliżowany zbyt gwałtownem wstrząśnieniem, obezwładniony, długo spoczywał w śnie głębokim, a gdy się obudził z letargu, i zawisł na nowo w przestrzeni, uniósł się w uwielbieniu ku górze, w hołdzie ku nieśmiertelnemu źródłu piękna, którego moc, zlała na ten uroczy skrawek ziemi, tyle najczystszych i najświetniejszych tęczowych blasków.

. . . . .

Tradycja podaje, że gdy Boabdil, ostatni władca Granady, pokonany pod jej murami przez Hiszpanów, uchodząc do Afryki z tych stron, zatrzymał się na szczycie góry, zwanej do dziś „westchnieniem Maura“, zwrócił wzrok w stronę wydartych mu dzierżaw, i zalamawszy ręce, z rozpaczy głośno zapłakał, podczas gdy towarzysząca mu matka, odezwała się do niego z pogardą: „skoro nie mogłeś, niby słaba niewiasta, obronić tego kraju, płacz teraz nędzniku, jak niewiasta“.

Czy te łzy jego, czy ta obelga rzucona mu przez matkę w twarz, nie miały przypadkiem swojego źródła i w uczuciu głębokiego żalu, że pozwoliwszy sobie wyrwać z rąk silne państwo, jednocześnie utracił on i perłę najczystszej wody i najjaśniejszego blasku, w djademie Arabów?

---

„Wielką ruiną“ nazywają Granadę.

Niesłusznie.

Raczej godziłoby się ją nazwać miastem zrujnowanem, z dawnej świetności przyprowadzonym do nędzy.

Ale ruiną ona nie jest.

Może ci, którzy ją tak nazwali, nie widzieli prawdziwego miasta ruin, sycylijskich Syrakuz. Ja je widziałem, i dlatego nie mogę się zgodzić z ich określeniem.

I podczas gdy Syrakuzy przedstawiają rzeczywiście dziś „ruinę wielką”, podczas gdy tam o krok za dzisiejszych jej mieszkańców domami, spotyka się kamienne resztki, rozłożonego na olbrzymiej przestrzeni, wielkiego grodu starożytności, tu niczego podobnego nie widzę.

Widzę natomiast miasto biedne, zaniedbane, brudne, miasto, po którym dziś chodząc, nie można się nawet domyślać tego, czem było wczoraj.

Robi też ono na mnie wrażenie, do nędzy przywiedzionego wielkiego pana, który nie z własnej winy, ale z woli kapryśnego losu, z wyżyn, na których stał długie czasy, udrapowany swoim wspaniałym płaszczem, zepchnięty gwałtownie został, w ciasną, ciemną wilgotną przepaść.

W przepaść, bez wyjścia.

Bo wczorajsza Granada była wielką i potężną, dzięki temu, iż wypierani z całej Hiszpanji Maurowie, usadowili się w niej, jak w fortecy, bo mając pozo-

stawiony sobie kraj mały, doprowadzili go pracą i geniuszem do stanu kwitnącego, bo czując iż tu jest ich świat cały w Europie, nie poskapili zabiegów i pracy, aby świat ten przemienić w prawdziwy raj na ziemi.

Wyśrubowali więc ją sztucznie, rozdęli do rozmiarów niezwykłych, i zamknięci w niej, przeciwstawili jej potęgę kulturalnemu ubóstwu reszty tego kraju.

Ale Maurowie, padli po bohaterskiej obronie, „w gruzach”, — jak śpiewa w *Alpuharze* Mickiewicz, — „legły ich dzierżawy, a naród ich dźwignął żelaza” — Granada z mahometańskiej, przeistoczyła się w chrześcijańską.

Już nie ona, tylko Madryt stał się słońcem, około którego obracało się wszystko, już nie ku niej, tylko ku niemu skierowały się wszystkie myśli, jednego i niepodzielnego kraju.

Zaczęła więc spadać ku dołowi.

Spadać gwałtownie, niby kamień po równi pochylej.

A że nikt nie powstrzymywał jej na drodze spadku, przeto toczyła się ku nizinom, niby kamień, aż zatrzymała się w głębokim dole.

I w nim żyje; nie, wegetuje, zdala od świata, bez nadziei, aby mogła się z niego kiedy na wierzch wydobyć.

I gdyby nie jej Alhambra niezrównana, ściągająca do niej z całego świata tłumy, podróżny po Hiszpanji, nie pomyślałby o niej nigdy, bo choć położona wspaniale, choć opromieniona wspomnieniami wielkimi, nie dawałaby mu ona tych przyjemności, jakie się spotyka, kiedy się podróżuje po miastach bogatych i kwitnących.

Ale biedna, nędzna, zepchnięta w nocy mroki, miastem ruin bynajmniej ona nie jest.

Nie spotykałem ich w Granadzie nigdzie.

Owszem, jej domy, mają nawet wygląd niezbyt stary, jej świątynie nie są pokryte mchem zgrzybiałości.

A murów rozwalonych, kanałów weiskających się w ziemię jak krety, resztek teatrów odwiecznych, i porozwalanych meczetów, nie widziałem w żadnym jej miejscu.

Więc na ruinę się nie godzę, godzę się na to, że dzisiejsza Granada, jest prowincją zapadłą i opuszczoną, o wszystkich właściwościach i cechach opuszczonej i zapadłej prowincji, gdzie żyją ci tylko, którzy żyć w niej muszą, tocząc powoli taczkę codziennego trudu, i ociekając potem, po kamienistej, znoejnej swej pracy drodze.

To też arystokracja jej rodowa i pieniężna, nie w niej mieszka i nie w jej murach używa bogactw swoich, i spędzając wesołe chwile w Madrycie i Barcelonie, zrzadka tylko nawiedza gród, zaludniony dziś w znacznej części przez ludzi, którzy kawał suchego nieraz chleba, zdobywają nie bez walki ciężkiej, niepewni, czy mając go przed sobą dziś, mieć go będą z całą pewnością jutro.

Cóż jest godnego widzenia przecież, w tem mieście nędzy, brudu i opuszczenia?

Przedewszystkiem katedra.

Jak większość katedr w miastach hiszpańskich, i ona stanęła na miejscu meczetu, i jej mury zmiażdżyły dawne, w obrębie których unosiły się cicho ku niebu inne modły.

Jak wyglądały te mury, dziś nikt nie wie, zmiażdżyła je bowiem ona doszczętnie, z obszaru przecież jaki zajmuje, wnosić można, że meczet, który jej za podstawę służy, nie należał do podrzędniejszych.

Kiedy więc po zdobyciu Granady, skazano go na śmierć, uplanowano na jego miejscu świątynię, która w szeregu świątyń w tym kraju, do podrzędniejszych nie należy.

Owszem, wyróżnia się od nich harmonją i pięknem.

Nie jest to chaotyczny kolos, w rodzaju katedr Sewilli lub Toleda, i kiedy jej się przyglądam, zestawiam ją raczej z katedrą w Maladze, z którą w bliżkiem, stylowem powinowactwie pozostaje.

Zewnątrz piękna, wewnątrz uderza majestatem i spokojem.

O pięciu nawach, zwraca uwagę jak sewilska szeregami kolumn, śmiało podtrzymujących jej sklepienie. Tylko, że te kolumny niższe i cieńsze, nie przejmują takim przerażeniem, nie gniotą tak swoją wielkością, a przyozdobione korynkiem u góry kwieciami, wdzięczniej o wiele wpadają w oko.

Katedra jest grobowcem dla zdobywców Granady.

W „Capilla Mayor”, zbudowanej w stylu gotyckim, i powiększonej przez Karola V-tego bo mu się wydawała ona „zbyt małą na tyle chwwały”, spoczywają tu oni otoczeni wspaniałymi pomnikami.

W ołtarzu głównym, uderzają moje oczy, posążki przedstawiające Ferdynanda i Izabellę katolicką w klęczącej postaci, a obok płaskorzeźba, ukazująca niešťeśliwego Boabdila, oddającego w ich obecności klucze Granady.

Wogóle wszystko, na co tu spojrzę, przypomina mi tryumf w tym miejscu krzyża nad półksiężcem.

W pięknej kaplicy królewskiej, widzę mały historyczny obrazek, przed którym zaraz po wzięciu Granady, w meczecie Alhambry, odprawiono, wobec jej zdobywców mszę, obok ukazują mi miejsce, na którym jeden z bohaterskich hiszpanów, wdarłszy się pierwszy do obleganego miasta, na murze meczetu stojącego tu niegdyś, zawiesił pargamin, ze słowami „Ave Maria“; po drugiej stronie mam na ścianie, portrety królów katolickich.

Niby świątych, zawieszono tu je, wśród Madonn i męczenników za wiarę, i niby święci, odbierają tu oni pokłony od pospólstwa, sadowiącego ich w pietyzmie na gwiazdzistych tronach nieba, które zajmują święci.

Muzeum to zatem raczej niż kościół, pełne relikwii historycznych, i kiedy się szczegółom jego przygląda, więcej się myśli o muzeum niż o kościele.

O ileż, ach! o ileż, wstrząsało by ono silniej naszym całym jestestwem, gdyby widok porozwieszanych w niem pamiątek wielkiej chwały, nie sprowadzał na myśl wspomnień barbarzyństw, które cieniem obrzucają tę chwałę!..

Wiaro Chrystusa, ty czysta, wielka i święta,— czemuż liljowy twój sztandar, ludzie wyschłych mózgów i złodowaciałych serc, w ślepotcie głupiej, że Bogu tym sposobem hołdy składają, plugawili i plugawią krwią dotąd, jak gdyby na urągowisko jego mądrości, miłości i miłosierdziu?!

Wspaniałą więc jest ta katedra, co powstała na ruinach meczetu, i posiada tyle pamiątek przywodzących na myśl, walki w tych stronach chrześcian, z wyznawcami proroka, wspaniałym i klasztor Kartuzów, wzniesiony wkrótce po odebraniu mauirom Granady, by świadczył o potędze tych, którzy maurów wyrzucili do Afryki.

To też zazwyczaj po jej zwiedzeniu, przewodnik po mieście, wiezie do niego przyjezdnych, by podziwiali sztukę tych, którzy arabskiej Alhambrze zamierzali przeciwstawić, plód swojego artystycznego geniuszu.

I przywiózłszy ich tu, z zadowoleniem widzi, jak z zajęciem przyglądają się dziełu rzeczywiście pięknemu, czyniącemu zaszczyt ich twórcom.

Tylko że to dzieło, nie w Granadzie znajdować się powinno; nie przy Alhambrze.

Gdzieindziej, budziłoby ono podziw, ornamentacją ścian swojej zakrystji, stiukami kunsztownymi, różnokolorowemi marmurami, szafami wreszcie z cedru, postawianemi po kątach, a wykładanemi artystycznie srebrem, słoniową kością, i perłową masą.

Tu zestawione z tem, co się dopieroco widziało, robi wrażenie o wiele mniejsze.

I choć jak słusznie francuskie przysłowie powiada: „porównywanie nie jest rozumowaniem“, (comparaison n'est pas raison) mimowoli, ozdobnictwo murów klasztoru tego, zestawia się z ozdobnictwem murów

Granady, i... rezultat do przewidzenia nie trudny. Kogo to dziwi? Przy słońcu, gwiazda najpierwszej nawet mocy, będzie kagankiem, niegodnym niemal ludzkiego wzroku. A Alhambra jest słońcem; cóż więc szczególnego, że wszystko, co dokoła niej płonie, weiska bez miłosierdzia w cień.

Choć Granada nie jest miastem ruin, w części przynajmniej powstała na ruinach.

Widzieliśmy to w jej katedrze, widzimy i teraz, gdy znużeni jednostajnością i ciasnotą jej uliczek, zamierzamy na szerszej przestrzeni, odetchnąć świeższym powietrzem.

Przechodzimy „Puerta Real“, królewską bramę, i znajdujemy się na obszernej ulicy.

Ulica ta „Carrera de Genil“ wyciągniętą została już w nowszych czasach, na zasklepieniem korycie rzeki Darro, która ukrywszy się sztucznie pod ziemią, u jej końca z pod ziemi wychodzi, by zginąć w nurtach innej rzeki.

Zabudowana hotelami, prowadzi ona na „Paseo de Invierno“ i styka się z wielkim niekształtnym placem, który od niedawna dopiero, zrzucił z siebie szaty arabskie.

Otóż w tych miejscach, jeszcze w roku 1873, ciągnęły się stare mury, dawnych władców Granady, stały obronne bramy, przed którymi uzbrojeni rycerze, pilnowali bezpieczeństwa mieszkańców. Dziś murów tu nie widać, tradycja przecież wskazuje ruiny, których śladów przecież już się nie spotyka.

Za to dokoła, spotyka się teatrzyki ludowe, gdzie za kilka centów, niewybredna miejska publiczność, może się pośmiać, i zapomnieć o tem, co jej łyzy sprwadza do oczów.

Czego przyjezdny do Granady, pominąć w żaden sposób nie powinien, gdy zwiedza te miasto, to przedmieścia cyganów.

Przedmieścia, a raczej nor wyżłobionych w skałach.

Bo od niepamiętnych czasów, w ich wnętrzu obrali sobie oni mieszkanie, i zerwawszy z cywilizacją,





Meczet w Kordowie.



i jej komfortem, niby zwierzęta, gnieźdzą się w ich szczelinach.

Gnieźdzą, jako państwo w państwie.

Bo mają oddzielnego króla, oddzielny od reszty kraju język, rządzą się prawami, nie ujętymi w żaden pisany kodeks, a przecież budzącymi wśród nich, po szanowanie i postrach.

Widzieliśmy ich pod ogólną nazwą „gitanos“, w Sewilli i Maladze, tu wyróżniają się oni od sewilskich i malagskich współbraci, większą prostotą i pogardą wygod życia.

O pogardzie tej, dały mi świadectwo, te ich nory skaliste, to też przyglądałem się im, z zajęciem. Bez okien, drzwiami tylko komunikujące się z zewnętrznym światem, są one obrazem mieszkań pierwotnych ludów, stojących u kolebki kultury, i nie mających kulturze do zawdzięczenia nic.

Co za sprzeczności pomyślałem, rozglądając się po tych ich norach.

Tam na górze, wspaniałe pałace, olśniewające wzrok przepychem i pięknem czarodziejskim, a tu obok, jaskinie kamieniste, pieczary bez światła i powietrza, coś w rodzaju wielkich trumien, zapełnionych istotami żywymi.

Co za sprzeczności?... ale czyż tu tylko w tej Granadzie, uderzają one oczy, przejmując serca wzruszeniem, czoło marszcząc głęboką zadumą? Czyż świat cały sprzecznością nie jest, czyż to, na co codziennie spoglądamy, niby zgrzyt żelaza po szkle, rozdzwięku ciągle nie wprowadza do naszych dusz?

Patrzmy uważnie dokoła, po szczeblach drabiny społecznej, zstępujmy częściej ze szczytów na niziny, a w zmienionej nieco postaci, ukążą nam się nie tylko w tej tu Granadzie, ale wszędzie, gdzie człowiek śmieje się i płacze, podobne nory i podobne wspaniałości przy sobie, tylko pociągnięte pokostem, którego mieszkańcom tych cygańskich nor brak, a który przecież, istoty tych sprzeczności, bynajmniej o włos nawet nie zmienia.

Tragedja doli ludzkiej, którą przywodzi mi na myśl, widok obrazów, jakie tu mam, jest wszędzie niestety jednaka. Tylko nie wszędzie, rzuca się ona tak jaskrawo jak tu, w tej Granadzie do oczów.

\* \* \*

Opuszczam miasto, z wyrazem wyrzutu pod adresem rządu hiszpańskiego.

Nie jego tylko, — wszystkich rządów, jakie są, bo one wszystkie, w analogicznych sprawach, analogicznie się zachowują.

Oto tej wspaniałej Alhambrze, grozi powolna ruina, oto niektóre z jej sal, niszczeją, toczone zębem czasu i rdzą zaniedbania.

Wilgoć zakrada się tu i owdzie, wątle ornamentacje kruszeją coraz więcej, znać ślady uszkodzeń na wielu ścianach.

Głos przerażenia daje się słyszeć zewsząd, bo jeżeli tak dalej pójdzie, zabytek jedyny na świecie, jeżeli nie zniknie z powierzchni ziemi, to przeinaczy się do niepoznania, zachwieje w swoich posadach.

Wprawdzie w Madrycie, nie są głusi na wołania o pomoc, wprawdzie rząd centralny łoży na konserwację murów starych, ale nie łoży tyle ile powinien, ceruje i łąta dziury, nie bacząc na to, że móle spustoszenia co dzień niemal robią nowe.

Historja stara, nie tu tylko mamy ją przed oczyma.

Wojna i obrona kraju, któremu dodajmy, nikt nie zagraża, pochłania wszystkie rozporządchalne środki, na kulturalne cele narodu nie pozostaje wiele.

Historja stara, — gdzie jej nie mamy, gdzie nie budzi ona politowania i smutku?

Wszędzie, gdzie człowiek żyje i pracuje, zużywa siły na zabezpieczanie się od innych, lub niszczenie innych, a tymczasem gangrena w domu toczy jego własne ciało, wysuszając jego mózg, lodem ścinając serce.

I tu w tej Hiszpanji nieszczęsnej, w śnie ciemnoty spoczywają miljony, po ulicach Madrytu i Barcelo-

ny, chodzić cudzoziemiec nie może, bo go opadają wciąż tłumy natrętnych żebraków, i tu podupadają Muzea i Biblioteki, Alhambra taka co rok niemal, traci bezpowrotnie coś ze swych piękności.

A tymczasem skarb państwa łoży miliony na pokój zbrojny, setki tysięcy rąk zdrowych i silnych, odrywając od produkeyjnych prac.

Dokąd ten szal doprowadzi obląkaną ludzkość, nie wiem, może do kataklizmu strasznego, który ją odrodzi i uleczy, ale nim to odrodzenie i uleczenie nastąpi, oby przypadkiem, arcytwory podobne temu, który mi w tej chwili gdy to piszę, stoi przed wzrokiem duszy, nie rozsypały się, pod wpływem zaniedbania w proch.

Byron powiedział, że gdy fale morskie, zaleją kiedyś marmurowe pałace Wenecji, płacz ogólny rozlegnie się po świecie, jakież więc okrzyk zgrozy i rozpaczyny wydarłby się z piersi wszystkich co żyją, gdyby podobne jak tej Alhambry cuda sztuki, zmiotły kiedy z powierzchni ziemi, fale naszego bezrozumu dzikości i szalu!...

---

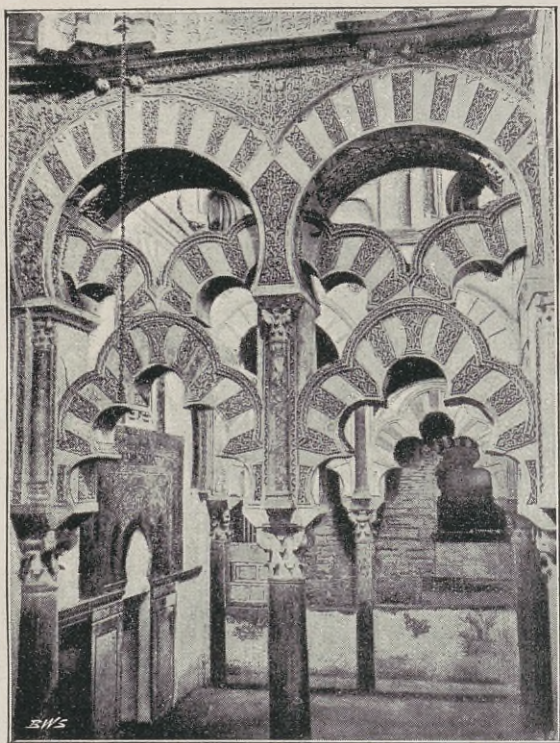
Stara arabska legenda opowiada, że Abd-el-Raman, wielki Kalif Kordowy, dnia pewnego bardzo wczesnie zerwał się ze snu, i nie zważając na ranną porę, wezwał starszych swojego państwa na naradę.

Kiedy zaspani, i zdziwieni nagłym wezwaniem, stawili się w jego pałacu, oświadczył im, że przyszła mu myśl w nocy, aby celem upamiętnienia tryumfu półksiężycy nad krzyżem w Hiszpanji, zbudował w mieście, które stolicą jego było, olbrzymi meczet.

— Pogański chrześcijanin utrzymuje, — temi słowy zagaił on swoją mowę, — że Europa jest królową, a Azja jej służebnicą. Wierny mahometanin odpowiada mu: światło przychodzi ze wschodu, zachód pogrążony jest w ciemnościach.

— „Barbarzyńcy krajów lodem pokrytych, radują się otuleni w swoje futra, że papież odda Karłomanowi dziedzictwo Konstantyna, ale piękne dziewice Jemenu, swojemi tańcami i śpiewem, święcą zwycięstwa synów Izmaela, roztwierających przy pomocy prawd Koranu, wrota wschodu i zachodu.

— „Bóg nie powierzy losów świata tym, którzy lubują się w trunkach, i zalecając innym umiarkowanie bogacą się, wynosząc pod niebiosa ubóstwo, i oddają się rozpuście, głosząc zasady czystości. Ich udziałem niechaj będą klasztory biedne i ponure, naszym ogrody, haremy, kąpiele i meczety wspaniałe, ich milczenie w wilgotnych kościelnych murach, życie smutne w zamkach warownych, naszym wodotryski z kryształu, byt wesoly i spokojny wśród sztuk i nauk.



Łuki wnętrza meczetu.





I gdy oni tonąc w nietolerancji, tyranji i ciemnocie, niszczyć i rozkładać będą się powoli, my tymczasem dojdziemy do blasku i potęgi, i zakwitniemy otoczeni światłem, w rozkoszach i miłości”.

Po tej przemowie, wyłożył im szczegółowiej swój plan.

Oto, już się ma pod koniec chrześcijańskiemu światu, Islam rozlewa się, niby spieniona rzeka po świecie.

Oto wierni daleko od granic ojczyznej Arabji, zapuścili korzenie swoje, zawładnęli Hiszpanją, grożą Francji, a przez Francję reszcie Europy.

Należy więc pozostawić widomy ślad ich olbrzymiej potęgi, stworzyć na zachodzie nową Kaabę Mekki, ku której zwracałyby się wszystkich mahometan oczy, jak ku Mekce.

Ale aby ta potęga zmanifestowała się widomie w dostojny sposób, aby arab, patrząc na nową świątynię, za dawnymi nie tęsknił, musi być ona wspaniałą i wielką, zaćmić wszystko, co przedtem stworzył jego genjusz.

Zbuduje się więc ją na miejscu, gdzie dotąd krzyż czczono, ozdobi tak, jak żadna ze świątyni chrześcijańskich ozdobioną nigdy nie była, zwiezie się do niej kolumny marmurowe z najpiękniejszych gmachów całego świata, i otoczy lasem pomarańcz i mirtów, by niby zaczarowana, unosiła się wśród nich, wonna zapachem odurzającego kwiecia, i radująca wzrok nie więdnącą nigdy zielenią.

A gdy to się stanie, zadrży w posadach Europa, krzyż zachwieje się na szczycie, bazyliki Piotrowej, a ci, którzy w zaślepieniu, odwracają się od prawd Islamu, z ich prawowiernymi czcicielami, zgodnym chórem zawołają głośno, bijąc czołami o ziemię, w pokorze przed Ałłachem:

„Bóg miłosierny, nauczył Koranu, on stworzył człowieka i dał mu rozum.

„On jest miłosierny, i dobrotliwy, on jest królem dnia sądnego.

„Wschód i Zachód należą do Pana, w jakąkolwiek stronę wzrok się nasz zwróci, wszędzie napotkamy jego oblicze. On napełnia świat swoim ogromem i mądrością“.

. . . . .

I zbudowany został w Kordowie, majestatyczny meczet, potęga arabów na zachodzie, ucieleśnioną została pomnikiem niezrównanym.

Nie ziścił on jednak pokładanych w nim przez Abd-el-Ramana, nadziei, nie strącił z bazyliki Piotrowej w Rzymie krzyża, nie gromadzi dziś w murach swoich pokornych z całej Europy, tłumów.

Jakżeż się więc przedstawia, w tysiąc lat po jego wzniesieniu, oczom świadomego znikomości rzeczy ludzkich, gościa z Polski dalekiej, dla której również, miał być wedle zamiarów jego dumnego twórcy tem, czem Kaaba dla Mekki?

\* \* \*

Potrzeba od kolei przejść całe miasto, aby się dostać do meczetu.

Przechodzę je więc, przyglądając się mu uważnie.

Po Sewilli, Maladze i Granadzie, budzi ono wielki mój interes, nie dla tego, żeby było piękniejsze od tych miast, ale że jest od nich wszystkich różne.

Bo rzucam pamięcią wstecz, i nie znajduję w niem podobieństwa do żadnego z nich.

Wprawdzie wszystkie one, nie są tem dziś, czem były za maurów, wprawdzie połączone z koroną Hiszpanji, wszystkie podupadły i zbiedniały, ale żadne z nich przecież, nie zamieniło się w żyjący cmentarz.

A Kordowa dziś jest cmentarzem.

Uderza to odrazu w oczy, kiedy się na jej ulicach znajdzie.

Bo wszystkie one, jakie tu są, z wyjątkiem dwóch może: „Grand Capitan” i „Paseo de la Victoria”, na ulice nie patrzą, patrzą na cmentarne ścieżki, wązkie i krótkie, łamiące się pod niemożliwymi kątami, jak te ścieżki.

Nigdzie placu, nigdzie ogrodu, — po bokach białe, piętrowe po większej części domy, raczej do kaplic cmentarnych, niż do mieszkań ludzkich podobne.

Zwłaszcza, że ludzi w nich nie widzi się prawie wcale.

Nie widzi ich się też wielu, i na ulicach.

Nadewszystko młodych kobiet.

W przeciwieństwie do wesołej Sewilli, gdzie w jaskrawych szatach, snują się one wszędzie, tu jak za maurytańskich czasów, ukryte są w głębi samotnych komnat.

Jak gdyby w obawie, by ich nie dosięgnął gniew Proroka, unikają one światła słonecznego, a gdy przypadkiem dostrzeże je ciekawego oko, w zakratowanego ganku oknie, to osłonięte jak ich siostry, za czasów rządów w tem mieście, sług Proroka.

Patrząc na to, przypominają się słowa Koranu, zalecającego kobietom skromność, posuniętą do ostatnich granic, dźwięczy w uszach surowy jego nakaz, którego złamać nie odważyłaby się z nich nigdy, żadna.

— „Zaleć niewiastom,—oto te słowa, które chyba w uszach kobiet Kordowy i dziś być jeszcze muszą,—aby spuszczały oczy, aby strzegły swej czystości, i tylko to ze swego ciała okazywały, co powinno być odkrytem. Niech zakrywają swe łona, a twarze swoje, mogą pokazywać, tylko swym mężom, ojcom, dziadom, swym braciom, synowcom, niewiastom, niewolnikom, sługom i służebnikom, którzy nie potrzebują kobiet, i dzieciom, które jeszcze nie wiedzą, co powinno być zakrytem. Niechaj swych stóp, zbytecznie nie podnoszą, by nie odkrywać ukrytych ozdób swoich. O wierni! odwróćcie swe serca ku Bogu, iż byście byli szczęśliwi“.

Rzecz doprawdy dziwna. Ta Kordowa, z miast południowej Hiszpanji, dostała się pod władzę chrześcian najpierw; podczas gdy Sewilla padła w roku 1248, a Granada w roku 1492, w progi jej Św. Ferdynand ze swoim zwyciężskim wojskiem, wkroczył już w roku 1236, niszcząc wszystko co w niej arabskiego było, ogniem i żelazem, po drodze.

Bez mała więc, 700 już lat temu, miasto to, zerwało związek z maurami, prócz meczetu, nie przechowało w sobie żadnej z ich pamiątek, a przecież po dziś, otrząsnąć się nie może z ich wpływu.

I nie tylko uderza to w życiu jego kobiet, przypominajacem swoim zamknięciem życie kobiet mahometańskich, cały zewnętrzny wygląd miasta, robi wrażenie miasta arabów.

Skutek to tego, że Kordowa niegdyś była największym miastem arabskim na zachodzie, że zwano ją Mekką hiszpańską, lub że tu, kultura mahometańska doszła do największego rozkwitu, — nie wiem, zaznaczam tylko fakt, który każdego kto tu bawi ujsć nie może oczów.

Bo to ciche i ustronne obecnie miasto, nie było kiedyś tem, czem jest dziś.

Było nie miastem, ale światem.

I słońcem.

Jak świat, zamykało w sobie wszystko, co wielkiego świat daje, jak słońce, ogrzewało dokoła wszystko.

I potoki jaskrawego światła, zlewało na wszystko.

Kiedy po upadku królestwa wizygotów, usadowili się w tem mieście arabowie, postanowili wywyższyć je nad wszystkie inne, jakie dostały się im w Hiszpanji do rąk.

I wywyższyli.

Zasypali je meczetami, powznosili w niem biblioteki i akademje, ściągnęli w jego mury uczonych, ze wszystkich stron.

Szło im o to, aby zaćmić Mekkę, aby od niej odwrócić setki tysięcy swoich pielgrzymów, i skierować ku świeżo zdobytym na chrześcianach stronom, bo im się zdawało, że z biegiem czasu, staną się one dla zachodu, tem, czem jest Arabja dla wschodu świata.

Wieki więc kulturalnej usilnej pracy, nie pozostały tu bez śladu, zabiły kulturę starą, stworzyły nową, i to tak głęboką i potężną, iż gdy nie stało jej twórców, ziarna jej nie przestają kielkować.



Perspektywa meczetu.



W zwyczajach i obyczajach mieszkańców, w sposobie ich życia, w charakterze budowli, jakie się na miejscu dawnych wznoszą.

Wprawdzie te ziarna, dostrzegalem i w Sewilli, wprawdzie i w Maladze i Granadzie, niejednokrotnie na ulicach ustronnych miasta, wyrywał mi się okrzyk: „jestem w Afryce”, ale nigdzie nie wyrywał mi się tak często jak tu w tej Kordowie, która cała niemal bez wyjątku, jest Afryką.

To też jak w Afryce, nie często spotykałem się w niej, z kobietami po ulicach, jak w Afryce otoczony byłem dokoła życiem od naszego odmiennem, jak w Afryce wreszcie, mogłem w meczecie pamiętającym czcicieli wiary Mahometa, podziwiać pietyzm, znaczący jej rozwój na świecie, takimi wspaniałymi pomnikami.

Bo wspaniały to, w całym znaczeniu słowa pomnik, ten meczet Kordowy.

W miejscu niezmiernie malowniczym, nad brzegami Gwadalkwiwuru, tuż przy starym moście, którego fundamenta jeszcze czasy rzymskie pamiętają, wznosi się on w olbrzymich rozmiarach, ściągając ku sobie zewsząd wzrok.

O zewnętrznym jego wyglądzie pisać nie będę, powiem tylko, że mało co mniejszy od Świętego Piotra w Rzymie, imponuje on Kordowie, jak Ś-y Piotr Rzymowi.

Tylko nie pięknością zewnętrznej architektury. O nią nigdy maurowie nie dbali, dbali o wnętrze.

Ubrali go więc, jak wnętrza pałaców swoich, i na tronie utkanym fantazją niezrównaną, usadowili w nim swojego Boga.

Wrażenie jakie to wnętrze zrobiło na mnie, określić się łatwo nie da.

Jak nie da się określić łatwo, wrażenie, na widok czegoś haotycznego, czego mimo chęci, sprowadzić nie podobna do wspólnego mianownika.

Przechodzę podwórze pomarańcz, gdzie wierni, zanim wstąpili do świątyni, w myśl nakazu Koranu,

obmywali swe szyje, ręce i nogi, i znajduję się w otoczeniu kolumn.

Jedne i drugie wchodzą mi na każdym kroku w oczy.

Kolumny to nie piękne, nie przypominają bynajmniej tych powiewnych i wdzięcznych, jakie pozostawiłem za sobą w Alkazarze i Sewilli, łuki rozwieszono nad niemi, nie mają nic z tej gracji, jaka podziw budzi w pałacach maurów. Jedne i drugie są ciężkie, noszą ślad ręki grubej i twardej, niedbającej o kształt, poprzestającej na ugrupowaniu.

To też zabijają one po prostu swoją jednostajnością, męczą podobieństwem. Czuję się wśród nich przygnębionym, brak mi powietrza.

Zwłaszcza, że są takie małe, że sklepienie nie unosi się na nich, lecz je formalnie gniecie, że ich tak wiele, iż jak polip, na wszystkie strony wyciągają one szare swoje ramiona. I kiedy im się szczególnie przyglądam, daleki jestem dla nich od tego podziwu, jaki budziły we mnie w Sali Lwów w Alhambrze, jej kolumny i estetyczne łuki, ale bo też mają się one do nich, tak, jak wypolerowana za ledwie, do wypieszczonej rękami prawdziwego artysty, sztaba.

Tam wszystko było miękkie i wdzięczne, tu, wszystko mówi masywnością i siłą. Nie dziwię się temu, gdy wspominam, że meczet Kordowy, zalicza się do pierwszego perjodu sztuki maurów w Hiszpanji, kiedy siła fizyczna, jaką ujawnili w podboju tego kraju, odzwierciadlała się we wszystkim, co wyszło z ich rąk.

Ale szczególnie nie piękne, te łuki i kolumny meczetu tego, robią wrażenie nie zwykłe.

Potrzeba się tylko od nich oddalić, nie przyglądać im się z blizka, nie wchodzić że tak powiem z niemi, w zbyt poufały stosunek.

Odepchnięte od oka, odsunięte na dalszy plan, wprost wstrząsają.

Zacierają bo się ich szczegóły, nikną niedostatki, ukazuje się na widowni wspaniałe majestat.



Jakiegoś tajemniczego lasu, jakiejs puszcy dzikiej, w zagadkowym swoim wnętrzu, kryjącej doprawdy, niewiadomo co...

Bo jest to las, jest to puszcza prawdziwa, ten meczet o tysiącu niegdyś, a ośmiuset dziś jeszcze kolumnach, robiących wrażenie drzew haotycznych, w ubraniu łuków, niby koron rozłożystych na drzewach. Rozchodzą się one we wszystkich kierunkach, wychodzą z kątów wszystkich, przerznięte ścieżkami jak w lesie, łamiącemi się co krok.

To też zgubić się tu jak w lesie można, to też bez przewodnika dojść tu samemu nie podobna, ani do poszczególnych kaplic arabskich, ozdobionych arabeskami, kwiatami i liśćmi, jak w Alkazarze i Alhambrze, ani do kościoła, zbudowanego w samym środku tego meczetu.

Wszystko to tu jest, i kaplice odgradzone od meczetu, prześlicznemi wrotami, a przeznaczone dla kalifów i dworu, niechętnie mieszającego się z tłumem, i kościół, rozpościerający się, na bynajmniej nie drobnej przestrzeni, ale to wszystko gdzieś niknie, tego wszystkiego nie widzi się wcale.

I czasu dopiero potrzeba, aby się przedostać do nich, aby nie zbłądzić w tym lesie szczególnym, zamykającym w sobie tyle prawdziwych tajemnic.

Powiedziałem, że wnętrze meczetu tego, zajmuje kościół.

Tak jest.

Po zdobyciu Kordowy przez chrześcian, przez trzy blisko wieki, nie było go tu, odprawiało się wprawdzie nabożeństwo, ale odprawiało się w przystawionych kaplicach, nie naruszających bynajmniej ogólnego jego charakteru.

Zaszczyt smutny zmienienia takowego, przypadł w udziale czasom późniejszym.

Nie do pojęcia—czasom odrodzenia sztuk i nauk!..

Mimo opozycję ojców miasta, postanowiono wtedy, zrobić zamach na meczet, nie śmiejąc go zburzyć, zdecydowano przeinaczyć.

I przeinaczono.

Padły więc środkowe mury, i w ramy świątyni mahometańskiej, wsunięto, niby domek z kart, kościół.

Powiadają, że Karol V, który na tę przebudowę pozwolenie udzielił, gdy ujrzał dzieło wandalizmu, wyraził się o niem z oburzeniem, ujrzał ze smutkiem bowiem, że jeśli nie znikło z powierzchni ziemi, to skazaniem zostało coś takiego, co jedynem było w swoim rodzaju na świecie.

— Zbudowaliście tu to, — miał się wyrazić, co daje się widzieć wszędzie, zburzyliście to znowu, czego nie widzi się nigdzie.

Tak jest, bo świątyni podobnej nie było dotąd nigdzie.

Była ona unikatem.

Mając być drugą Kaabą dla mahometan, stała się wspanialszą od Kaaby, bo ją ubrano tak, jak na ubranie tej ostatniej, zabrakło Arabii artystycznych sił.

Dziś jest zaledwie szkieletem.

Ale szkieletem olbrzyma.

Stoczył go ząb czasu, targnęła się na niego dłoń świętokradzka, to przecież co się w nim od zniszczenia uchowało, jest jeszcze olbrzymem.

I na tym cichym cmentarzu, którym jest ta dzisiejsza Kordowa, stoi w olbrzymich nad Gwadalkwivirem kształtach, imponując wszystkiemu, podporządkowując sobie wszystko.

I rzecz szczególna, choć ściśle biorąc, przestał on być meczetem, choć się stał katedrą, choć nie widzi dziś w swoich murach w hołdzie przed Allahem czciocieli Mahometa, do dziś nosi przecież nazwę nie katedry, lecz meczetu, jak gdyby nie przeszły nad nim pioruny czasu, jak gdyby oskard zniszczenia, nie dokonał w nim gruntownych przeobrażeń.

I cichy, martwy, niemy, przypomina tu tę groźną wiarę, która jedna ośmieciła się po przyjściu Chrystusa na świat, przeciwstawić się wierze pokory, miłości i cierpienia, a której srogi nakaz, zamknięty w rozdziale IX Koranu, dźwięczał mi groźnie w uszach, gdy zadumany błądziłem wśród jego kolumn.

Przypomnijmy sobie ten nakaz, i pomyślmy o tem, coby się stało z Europą, gdyby sądzonem mu było przyoblec się wśród nas, w ciało.

Oto on:

„Wytepiajcie tych, którzy nie wierzą w Ałaha i dzień ostateczny, którzy nie przestrzegają tego, co im Pan nakazał, nie wyznają prawej wiary, i w ogólności wszystkich, którzy nie wierzą w pisma od niego zesłane. Tępcie gjaurów, chyba że opłacać będą daninę własnymi rękami i staną się zupełnie wam uległymi”.

. . . . .

Opuszczałem Kordowę i Ziemię Maurów hiszpańskich, późnym wieczorem pewnego dnia zimowego.

Dążyłem do pociągu, który miał mnie przewieźć z powrotem do Madrytu, a przez Madryt do Barcelony i mego kraju.

Po ciepłym dniu, wieczór zeszedł na ziemię ciepłą, zlał na nią mroki pogody pełne i spokoju, tulił do snu miękko, jak czuła matka swoje niemowlę.

Niebo błyszczało jaskrawemi gwiazdami, wiatr łagodny szemrał po liściach drzew przydrożnych, w powietrzu unosiła się woń krzewów, i pomarańczowych drzew.

Głuche zazwyczaj miasto, o tej porze dawało obraz pustyni, wszystko co żyło w niem i cierpiało, zabierało się do snu.

Minąłem ulicę „Grand Capitan“, przedostałem się w zaułek ustronny, wreszcie stanąłem na dworcu kolejowym.

Za chwilę nadjechał pociąg z Sewilli, jeden z tych nielicznych, jakie przebiegają w Hiszpanji z błyskawiczną szybkością, przestrzeń dzielącą środek kraju od południa, a nie upłynęło paru godzin, byłem poza granicami Andaluzji.

Z dala od ziemi walk bohaterskich, wspomnień wielkich, cywilizacji niezrównanej, cierpień niezliczonych,—myślałem o tej ziemi.

O jej przeszłości wspinałej, dzisiejszej nędzy.

I unoszony na skrzydłach pary, ku mglistej mojej, mrocznej, a tak mi przecież drogiej północy, pytałem sam siebie, czy sądzonem jest tej Andaluzji kiedy jeszcze, roztoczyć przed światem te złote blaski, jakie zleli na nią przed wiekami maurowie.

Ale na pytanie to nie znalazłem w duszy mej odpowiedzi.

Jednostajny ruch kół pociągowych, ukołysał mnie do snu, a gdym się ocknął, świat inny, zimny, pełen rachub kupieckich i użycia, roztaczał w Madrycie przedemną swoje realne kształty.

Uroczą ziemię maurów hiszpańskich, należała już do moich wspomnień...

K O N I E C.





S-96

S. 61

30

8460 0381







POLITECHNIKA KRAKOWSKA  
BIBLIOTEKA GŁÓWNA

L. inw.

40973

K dn. Zam. 480/55 20.000

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000297045